№ 32. Warszawa, dnia 6 Sierpnia (25 Lipca) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

NIEPRAWDOPODOBNE A PRAWDZIWE.

Gazety rosyjskie, te niewyczerpane krynice „reform," pocieszyły nas znowu wiadomością, że ustawa pocztowa ma uledz zmianie według wzorów zagranicznych. Po tylu niesprawdzonych doniesieniach, czerpanych „z dobrze poinformowanych źródeł," nie wiemy, co z tym fantem zrobić: czy uznać go za istotną nowinę, czy za jeden z niezliczonych snów, które prasa petersburska od lat kilku opowiada światu. Bądź co bądź, pewnym w tej sprawie pozostaje niewątpliwy fakt, że gospodarstwo pocztowe w Cesarstwie i Królestwie wymaga gruntownego przekształcenia. W jakim kierunku?

Gdybyśmy niejednemu z naszych urzędników pocztowych powiedzieli, że zagranicą pisma peryodyczne wysyłają się nawet bez opasek, a listy bez oznaczenia stacyj dochodzą do rąk adresatów — z pewnością by nam nie uwierzył; naodwrót, gdybyśmy powiedzieli anglikowi lub francuzowi, że u nas pisma ekspedyują się z kantorów redakcyjnych w kopertach, a listy bez wskazania gubernii nie są przyjmowane—wziąłby to za żart. Porzuciwszy chęć poznajomienia zagranicy z naszymi żartami, postarajmy się zrozumieć jej dobrodziejstwa.

Przedewszystkiem poczty zagraniczne znają geografię, przynajmniej własnych krajów, co usuwa potrzebę wypisywania łokciowych adresów, omal że nie zawierających u nas rysopisu adresata i ilości jego dzieci. Powtóre urzędnicy pocztowi są ludźmi niezwykłej skrupulatności. Dla każdego z nich list jest rzeczą nietykalną, powierzoną z zupełnem zaufaniem ich sumieniu. Za kratką naszej poczty widujemy często niewysłane korespondencye z lakonicznym adresem: Berlin lub Paryż, bez oznaczenia ulicy. Ku wielkiemu zdumieniu naszych prowincyonalnych pocztchalterów, którzy w małych mieścinach nie mogą odszukać Wawrzyńca Pociechy lub Icka Kiksa, objaśnić winniśmy, że korespondencye takie w Berlinie i Paryżu nie uważają się za przepadłe. Mały przykład, w swoim czasie przez pisma głoszony. Ktoś dla rozegrania zakładu wrzucił do skrzynki w Poznaniu list z następującym polskim adresem: „Wielmożny N. N. (imię i nazwisko) student agronomii w Niemczech." Przetłomaczywszy adres, poczta wyprawiła list do Berlina, stamtąd przewędrował on wszystkie szkoły agronomiczne w Niemczech, i wreszcie po dwu miesiącach—zamazany, ostęplowany, znalazł adresata w... Hohenheimie. Jeżeli do stolicy zagranicznej przyjdzie korespondencya bez dokładnego adresu, oddawana jest pokolei wszystkim briefträgerom, dopóki który z nich w swym rewirze poszukiwanej osoby nie znajdzie. U nas, nawet w Baranowie lub Kazimierzu, ginie na śmieciach, wyspowiadawszy się naprzód ze swych tajemnic niedyskretnej ciekawości. Nic też dziwnego, że po wszystkich krajach cywilizowanych Europy krążą miliony karteczek handlowych, reklam, ogłoszeń, z których nawet tysiączny procent nie przepada i które podsycają potężny ruch handlowy. Tam najważniejsze interesy załatwiane są za pośrednictwem kart korespondencyjnych, u nas każda ważniejsza korespondencya musi się ubezpieczać.

A co powiedzieć o pętach, krępujących w obiegu pocztowym prasę? Trzeba u nas wydawać pismo, ażeby zbadać warunki jego ekspedycyi. Zagranica nie zna żadnych adresów dla gazet i znać ich nie może, gdyż nie zdołałaby wciągu dwu godzin wysyłać z jednej redakcyi po kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzów. Tam administracya pisma peryodycznego dostarcza poczcie określoną ilość nieadresowanych, nawet niezłożonych arkuszów, które natychmiast wszystkimi pociągami rozbiegają się na różne strony, a każdy kantor pocztowy rozdaje je abonentom według swej listy. Redakcya w Berlinie wie tyle tylko, że dla Lipska ma dostarczyć 500 egzemplarzów, ale nazwisk swych prenumeratorów wcale nie zna. Tymczasem u nas? U nas każda administracya jest filią ekspedycyi pocztowej. Nie uwierzyłby nam niemiec, gdybyśmy mu opisali tę naszą operacyę. Naprzód każdy numer musi być włożony w opaskę (tygodnik w kopertę), na tej kopercie czy opasce winien się znajdować dokładny adres, z oznaczeniem nietylko stacyi pocztowej, ale nawet jej numeru i traktu. Sądzicie, że to dosyć? Cała wysyłka musi być rozdzielona na trakty, a każda stacya, do której idzie kilka egzemplarzy, związana w jedną paczkę. Koniec już? Nie, każdy trakt posiada swoją „nakładną," w której drukowanym szemacie winna być zapisana przy każdej stacyi ilość wysyłanych egzemplarzy. A teraz wystawcie sobie, że w podobny sposób ekspedyowany jest *Daily Telegraph*, rozchodzący się codzień w setkach tysięcy — kiedy by go otrzymywali prenumeratorzy w Filadelfii? Mniej więcej za pół roku. Najlepszym wszakże w tej sprawie jest finał — mianowicie, gdy kantor redakcyjny zamknie pismo na siedm pieczęci i odda poczcie, dowiaduje się, że jakiś abonent w Żmerynce lub Kaliszu od miesiąca wcale gazety nie odbiera. Wszystko to tłomaczy nieznaną całemu światu a u nas istniejącą różnicę między warunkami przedpłaty w Warszawie i na prowincyi. Pismo, które w Warszawie kosztuje 8 rs. rocznie, w Pruszkowie lub Nowomińsku — rs. 12. Abonent prowincyonalny płaci zatem o 50% więcej niż warszawski. Redakcya bo-

wiem musi ściągnąć koszta rozmaitych adresów, opasek, cedul i potrącić coś na ryzyko półrocznie z góry przez pocztę pobieranego porta. Jeżeli zaś zniży opłatę przesyłki do 25% (np. *Prawda*), to stanowczo nie pokrywa nią wydatków ekspedycyi. Przy takich jej warunkach, tylko podziwiać można prowincyę, że nie odstrasza się wysokością prenumeraty i płaci tak znaczny podatek. Cztery lub trzy ruble od jednego pisma rocznie — to za wiele. Gdyby przynajmniej tyle tylko! Ale nie zapominajmy, że prenumerator prowincyonalny musi przesłać do redakcyi pieniądze, za które także płaci. Poczty bowiem w Cesarstwie i Królestwie przyjmują przedpłatę na wszystkie pisma świata, z wyjątkiem pism wychodzących właśnie w Cesarstwie i Królestwie. Jestto nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Jeżeli chcesz otrzymać *Times* lub *Gartenlaube*, nie potrzebujesz posyłać pieniędzy do Londynu i Lipska, lecz je składasz poczcie; ale za to jeśli chcesz zaabonować *Gazetę Polską* lub *Golos*, musisz przesłać opłatę wprost do redakcyi tych gazet. Zaiste, odważnym jest ten, kogo te wszystkie trudności nie odstraszą. Naturalnie dzięki tym utrudnieniom zarówno prasa polska, jak rosyjska, nie mogą zbyt daleko promieniować z ognisk życia umysłowego, nie mogą przenikać głęboko w prowincyę, lecz muszą się ograniczać do miast większych.

Nie potrzebujemy chyba wykładać szczegółowo kłopotów wyprawy i odbioru posyłek oraz pakietów pieniężnych. Znaną jest wszystkim (o ile znaną) teorya płócien, sznurków, laków, poświadczeń rządców domu i cyrkułów, wreszcie wyzwalanie pieniędzy zagranicznych z komory. Szczęśliwym może się nazwać ten, kto stracił tylko pół dnia czasu dla wysłania lub odebrania przedmiotu wartości kilkurublowej, kto nie przyjeżdżał i nie odjeżdżał dla dopełnienia rozmaitych niedokładności. Zwolennicy obecnego systematu chwalą go za bezpieczeństwo, zapominając o tem, że gdyby każdy list pieniężny doręczany był adresatowi pod eskortą roty żołnierzy i w przytomności trzech rekognoscentów, pewność byłaby jeszcze większą. Tymczasem owo sławione bezpieczeństwo zagranica osiąga daleko prostszymi środkami, a co traci na możliwem nadużyciu, to w daleko większej mierze zyskuje na swobodzie i rozległości ruchu korespondencyi pocztowej.

Wobec dotkniętych wyżej faktów, które bynajmniej nie wyczerpują ujemnej strony kwestyi, lecz są tylko przykładowo wskazanymi punktami, pole do reformy pocztowej u nas jest wielkie, a kierunek jej wyraźnie określony. Przedewszystkiem ta dziedzina gospodarstwa społecznego nie powinna być schronieniem dla ludzi bez żadnych fachowych uzdolnień, lecz zaopatrzyć się w siły od powiednie co do wiedzy i charakteru. Powtarzamy: i charakteru. Znaczna część złego płynie z braku poczucia obowiązku, przejęcia się ważnością swej roli, z braku wreszcie tego obywatelskiego sumienia, które jest opoką poczt zagranicznych, które otacza niewidzialnym skrzydłem każdą kartkę jego pieczy powierzoną. Rzecz naturalna, że przy dotychczasowym etacie pocztowym, który nie uznaje zmiany warunków ekonomicznych i oblicza potrzeby człowieka miarą dawnych, tanich czasów, o pozyskaniu takich ludzi w pożądanej ilości nawet myśleć niepodobna. Trzysturublowe pensyjki, zaledwie wystarczające na chleb urzędniczy bez soli, są zbyt słabą przynętą dla tych, którzy uczciwie żyć pragną a nadużyciami ratować się nie chcą. Na podniesieniu zaś materyalnem i moralnem służby pocztowej zyska jej działalność, dotąd narażana na poważne niebezpieczeństwa, wzmoże się zaufanie ogółu do tej instytucyi, która dziś nie posiada dostatecznego kredytu. Nie dotykamy tu zbyt wysokiej dotąd stopy porta listowego, która prędzej czy później ulegnie obniżce, gdyż kwestyę tę uważamy za mniej naglącą w porównaniu z trudnościami, obarczającemi ruch pocztowy. Ich brzemię, ciążące na prasie, na kantorach pism peryodycznych, obok kłopotów, znacznem podwyższeniem prenumeraty prowincyonalnej nie pozwala krajowi korzystać z dobrodziejstw prasy, jej zaś — rozpościerać szerokiego wpływu. Systemat rozsyłki gazet winien być zbliżony do sposobów ekspedycyi zagranicznej, t. j. wolny od kopert, adresów, cedul i innych drobiazgów formalistycznych. Nadto stacye pocztowe winny być kantorami prenumeraty pism w całem państwie wychodzących. Tyle razy już wykazywano potrzebę odstawiania listów pieniężnych do domu, uproszczenia odbioru posyłek, nadewszystko zaś zaprowadzenia przekazów pocztowych, że nasz głos w tym przedmiocie byłby dolaniem kropli do pełnego. Pozostaje nam więc tylko nadmienić ogólnie że od reformy pocztowej zależy u nas powodzenie bardzo wielu czynników społecznych pierwszorzędnego znaczenia. Naprawę tej instytucyi czeka nasz handel, literatura, oświata, przemysł, a nawet wątpimy, czy znalazłaby się jakakolwiek sfera życia, na którąby nowa organizacya pocztowa nie oddziałała dobroczynnie. Że w tem przekształceniu nie widzimy miejsca dla dotychczasowych polityczno-filologicznych ograniczeń, które odmawiają obiegu listom i posyłkom, w krajowym języku adresowanym, rzecz prosta. Środek ten powinien by ustąpić, chociażby przez wzgląd na swą bezsilność w tym kierunku, w którym został zwrócony. Gorąco też pragniemy, ażeby zapowiedziana przez gazety rosyjskie reforma pocztowa nie okazała się zwodnem mamidłem, i ażeby poczta nasza przestała być czemś nieprawdopodobnem, a jednak prawdziwem.

OBYWATEL POLSKI

z doby romantyzmu.

I.

Ponętnym, choć niełatwym do zerwania owocem sztuki historyograficznej jest wier-

---

2)

ZLI LUDZIE

opowiadanie

JANA LIERA.

Zarówno ogólny obraz, jak i szczegółowe tajemnice Doubrawy smutnych tylko dostarczają wrażeń. Nie dziw więc, że większa część przybyłych na uroczystość pątników unikała ich, zalegając wytrwale jadalnię na probostwie, gdzie nic nie raziło przypomnieniem nędzy lub nikczemności.

Zasiadali tu „panowie bracia" z różnych historycznych warstw *ecclesiae militantis:* Osiwiali zakonnicy dawnej szkoły, szczęśliwi piastuni starodawnej naiwności, której na wsi nikt nie zagrażał; otyli proboszcze, piorunujący namaszczonemi usty przed wychodźmi owieczkami przeciw materyalizmowi; nakoniec niewinni wikaryusze, ćwiczący się niedawno w zręcznem pokonywaniu dyabła i żołądka. Do tych wybranych przypuszczono cokolwiek śmietanki z pomiędzy „honoracyorów" doubrawskich, na których czele stał pan Jandera.

— Jeszcze chwilka, a bylibyśmy już nieczekali na pana! Temi słowy witało pana burmistrza towarzystwo, które tylko co ukończywszy obiad, zasiadało do podwieczorku.

— Wyszedłem trochę na przechadzkę — uspokajał stęsknionych przyjaciół pan Jandera — a zresztą, wszak wiecie, burmistrz niema ani chwilki spokoju, musiałby się rozedrzeć — aach!

Zgromadzeni panowie westchnęli, jakby na potwierdzenie. Wszakże wszyscy rozrywali się w służbie publicznej!

— Jakeś pan się urządził z Kotyzową?— szepnął proboszcz, wziąwszy na stronę pana Janderę.

— Z nią niema co robić. Mówi jak z książki, słowa jej zbijają z tropu. Na początek napędziłem nieco trwogi.

— Aha! Postępowałeś pan wedle rad naszych?

— Rozumie się! Wyborna to polityka. Dwadzieścia lat męczymy się ze starą, a niceśmy nie wskórali; teraz zaczniemy z córką, a wraz z nią sprowadzimy i matkę na właściwą drogę.

— Tylko ostrożnie. Wszelkie moje usiłowania w celu nawrócenia Małgorzaty były marne...

A syn pański, pater Jandera?

— Co proboszcz mówisz? — wykrzyknął zdziwiony ojciec.

— Pański syn — ciągnął dalej ojciec wielebny, uśmiechając się zdradliwie — dopiero od kilku tygodni uczy Małgorzatę, a spodziewam się, że ją nawróci. Mam pewne dowody; dziś przyszła Małgorzata sama do zakrystyana po książki nauczające, które dotychczas uparcie odrzucała.

— Otóż to nowina! — mówił ze zdziwieniem pan Jandera. A więc dlategoś mię proboszcz skłaniał, abym przyjął do służby Małgorzatę?

— Hm, — tak. Dotychczas może ją syn pański uczyć tylko ukradkiem, aby stara nie wiedziała. W domu pana będzie miał więcej sposobności. Jest rześki, młody, i nie wątpię...

— He! he! he!—śmiał się znów pan Jandera.

Obaj dostojni panowie zamilkli, i rozbierali w duchu ciekawe szczegóły nawracania młodych poganek.

— Gdzie jest mój syn?—spytał po chwili pan Jandera.

Proboszcz, wzruszywszy ramionami, przymrużył dziwnie oczy i przeglądał pod światło kieliszek wybornego wina.

* *
*

Życiorys patra Ludwika Jandery jest zwięzły i powszedni. Ojciec jego odziedziczył ten wielce humanitarny pogląd, że rodzice powinni swemu dziecku wytkną

ne przedstawienie całej galeryi typów danego społeczeństwa, w różnych jego chwilach dziejowych. Potężnemu wpływowi ducha czasu, tej wypadkowej mnóstwa czynników, gospodarujących w przeszłości, ulegają bezpośrednio czulsze, ruchliwsze, energiczniejsze żywioły narodu; tłumy rozlicznych stopni i odcieni ciągną powoli za rydwanem postępu, opóźniając się, w miarę swego oddalenia od ogniska. Piętno zatem właściwej epoki noszą na sobie *przedewszystkiem* pracownicy pierwszego rzędu, wodzowie drużyn ludzkości na drodze nieskończonego pochodu umysłów po linii spiralnej. Gdy ruch ten wspaniały znajduje od wielu stuleci przeważne swe odzwierciedlenie w literaturze, ciekawymi są dla nas nietylko portrety głównych działaczów, ale i wysnute z ich ducha, postaci idealne. To też ze wszech miar zajmującą byłaby dokładna odpowiedź na pytanie: jak w marzeniach pisarzów polskich wyglądał różnymi czasy kwiat społeczeństwa, jakie nadewszystko wzory obywatela, t. j. czynnego członka narodu, nakreślili oni ku zbudowaniu potomnych? Jest to przedmiot rozległy, wypełniający niemal cały obszar dziejów socyologii w Polsce.

Okres piastowski — ubogi do podobnych badań przedstawia materyał. Nie trudno w jego skarbcu o wizerunki typów społecznych; piśmiennictwo jednak, zamknięte w ramach kroniki, słabo a skąpo odbija rysy ideału, który zresztą nieznalazł sobie jeszcze wówczas odpowiedniego gruntu cywilizacyjnego. Wiek XV, owa chwila szkolnej oświaty i krwawej walki spornych w państwie żywiołów, ów brzask pierwszego dnia w literaturze dostarczyłby pewno badaczowi tej kwestyi bogatszego znacznie żniwa. Ale cała piastowska i starojagiellońska przeszłość służyć może tylko za wstęp do nowych dziejów, które przy końcu pierwszej połowy XVI-go stulecia wytwarza wpływ reformacyi i rozpowszechnienie sztuki drukarskiej. Odtąd na bujnej niwie swobód państwowych każdy niemal ze znakomitszych pisarzów kreśli po swojemu idealny obraz obywatela polskiego. Według średniej skali rozlicznych planów i marzeń, czynny członek społeczeństwa z doby Zygmuntowskiej powinien być szlachcicem. Ku czci wszelako rzeczników tej pierwszej u nas „epoki odrodzenia“ powiedzieć wypada, że szlachectwo rodowe, że klejnot dziedziczny uważali oni raczej za ozdobę, niż za konieczny warunek godności obywatelskiej. Rej np. w *Wizerunku żywota człowieka poczciwego* wyszydza jaskrawo tych, co „chlubiąc się herby, narody starymi,“ „allegują“ wszelkie swe występki zasługami przodków, i zuchwale noszą na bezsławnych ramionach drogo niegdyś okupioną purpurę. „Rzeczpospolita (mówi Orzechowski) [1]) mało albo nic ogląda się na ród, albo na zacność czyję; tego ona u siebie ma za godnego, go sobie, który jej dobrze czyni, mnożąc cześć i pożytek jej...“ Łukasz Górnicki w swym *Dworzaninie* uważa klejnot rodowy za pożądany dar przeszłości, nadający człowiekowi „mniemanie dobre, które każdy szlachcic ma u wszystkich w obec ludzi,“ ale sądzi, że owo decorum, nieoparte ściśle na zasadzie przyrodzonej, bo nie idące „za godnością, za największymi boskimi dary, jest rychlej ku chlubie naszym przodkom, niż nam samym...“ Frycz Modrzewski posuwa się raz aż do negacyi dziedzicznego szlachectwa, sprowadzając jego wartość całą do sławy, która jest owocem osobistego trudu, nie zaś mieniem spadkowem: bo gdy „lekarze z lekarzów, rzemieślnicy z rzemieślników się nie rodzą, powinnaż to rzecz, aby się rodził szlachcic z szlachcica?“ Ówczesny bądź co bądź ideał obywatela występuje przed nami zazwyczaj, jako ubrany w togę stanu uprzywilejowanego: wychowany w zacnym domu, za tarczą zasad polsko-chrześciańskich, kształci się w akademii krakowskiej, a następnie wyjeżdża za granicę, skąd po kilku latach pracowitej zabawy, powraca do kraju, aby czynem, słowem, piórem służyć dobru publicznemu; od czasu do czasu bawi na dworze pańskim, ale ceniąc niezależność, woli stan ziemianina; szydzi z duchownych, walczy na sejmach o wolność wyznania z chciwą władzy „księżą,“ domaga się wreszcie reformy Rzeczypospolitej. Jest to mniej więcej przeciętny wzór *wymarzonego* obywatela, i zarazem próżny cech indywidualnych typ kierownika nawy społecznej z czasów Zygmunta Augusta. Z biegiem lat, z nastaniem reakcyi katolickiej — ideał znacznej ulega zmianie: herb staje się koniecznym warunkiem, chryzmat wiary państwowej nieodzowną pieczęcią na dyplomie obywatelskim; walki krwawe i rosnący w kraju nierząd obniżają z każdą chwilą poziom dążeń, i zamglone oko domorosłego socyologa ku przeszłości odległej zwracają. Odczuć tu jeszcze można niekiedy, w wyższych sferach piśmiennictwa — błogi powiew zdrowej myśli. Skarga natchniony, wiodąc naród w dobrej wierze po wytkniętej pochyłości, uderza przecież w strunę demokratyczną i broni warstw uciśnionych; Szymonowicz, w sielankach *Żeńcy* i *Pastuszy*, płacze wymownie nad ludem; znacznie później, bo już w połowie XVII-go wieku — Opaliński powiada, że „nie to, co się na *ski* zwykło terminować,“ i nie herb czyni człowieka szlachcicem „ale cnota, przystojność;“ w kilkadziesiąt lat po wojewodzie poznańskim — śpiewa jeszcze, niby na nutę dawnych postępowców, dzielny Wacław z Potoka: „Rodzą chłopów szlachcianki i szlachtę chłopówny!“ Ale nie łudźmy się temi zjawiskami: typowy ideał obywatela polskiego traci stopniowo barwę i w coraz ciaśniejszych zamyka się rozmiarach. Pod epokę panowania Jana Kazimierza jestto rycerz-partyzant z herbem u głowni miecza i z krzyżem na piersi; wierny poddany kościoła, widzi on wady w ustroju politycznym Rzeczypospolitej, gromi współziomków za złe obyczaje, ale tępiąc zawzięcie aryanizm, otula się w miękkie pieluchy złotej swobody, i płynie prądem skarlałego

[1]) *Dyalog około egzekucyi pol. korony. VI.*

---

drogę życia: ryba wyrzucona w powietrze *musi* latać, a ptak wsadzony do wody *musi* pływać; a jeśli przytem skarłowacieje lub zginie — to jego wina, rodzice czynili, co mogli.

Matka w świętej prostocie ofiarowała syna niebu, ojciec uznał to za zbawienne, a oboje rozpływali się w szczęściu, gdy Ludwik wrócił z seminaryum — blady, ponury, z pełnem ognia tajemniczego spojrzeniem niepewnem, i z wyrazem cierpkości na ustach. Nadomiar szczęścia matczynego został on wikarym w Doubrawie, a chociaż zamieszkiwał jakąś duszną komórkę na probostwie, to jednak zachodził często do domu na buchty [1]), których mu matka piekła bez liku.

Po południu tegoż dnia szedł pater Ludwik ścieżkami za Doubrawą do lasu. Szybki krok i gorączkowa przemiana barw na jego policzkach świadczyły o wielkiem rozdrażnieniu; co pewien czas zatrzymywał się i przysiadał, jak gdyby dostawał zawrotu głowy. Przemógł go jednak, a przebiegłszy lasek, wyszedł na rozległą łąkę, wśród której pasło się kóz kilka.

Na przeciwnym brzegu lasu siedziała pasterka, dziewczę smagłe, o harmonijnej kibici, z głową kształtną, spoczywającą na dumnej, pięknie utoczonej szyi. Płeć jej była opalona niemal na brunatno, bujny włos czarny — kędzierzawy a lśniący, oczy paliły żarem, usta pełne — prześlicznie się zarysowywały, a każdy ruch jej tchnął energią i wdziękiem zarazem; była to jednem słowem skończona *beauté du diable*.

Dziewczę miało rozłożoną na kolanach „*Agnieszkę*,“ czasopismo dla dziewic chrześciańskich.“ Czytała, a raczej chwilami uparcie śledziła litery. Zabrzęczała muszka gdzieś z boku lub zaświegotał ptaszek, dziewczyna się oglądała za nim; wzrok jej uciekał z przedmiotu na przedmiot, aż niespodzianie zatrzymał się na ścieżce wiodącej do miasta: wstrząsnęła się cała, i znów dalej męczyła wzrok ściganiem liter, mocno, jak widać, niestrawnych.

Naraz zaumieniła się, schowała *Agnieszkę* pod fartuszek i spojrzała kłopotliwie na kozy... Działo się to w chwili, gdy pater Ludwik ścieżką doubrawską nadchodził.

Niech cię Bóg zachowa! — przemówił do dziewczyny.

Ona pochyliła się niedbale i spojrzała nań z wyrazem dziecięcej przekory.

— Małgorzato! — Słowo to brzmiało poważnie, a twarz patra przybrała wyraz żelaznej surowości.

— Dziękuję i witam was! — rzekła dość wyzywająco córka Kotyzowej.

Pater Ludwik usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

— Małgorzato! — mówił zwolna i z naciskiem — sądziłem, że jesteś na drodze poprawy, że czysty kwiat wiary zapuści korzenie w twej biednej duszyczce. Wszak się niemyliłem?

— Niemyliłeś się — rzekła nagle dziewczyna, zmieszana, jak zbrodniarz, schwytany na gorącym uczynku.

— Dlaczegóż więc niszczysz dobre ziarno swym uporem?

— Dlatego, że je chcę wypróbować — zawołała dziewczyna, — dlatego, że nie chcę, aby moja wiara w *was* opierała się na fałszu. Opowiadacie mi piękne historye o złotych grodach, w których znacie każdy gwoździk tak dokładnie, że doprowadzenie mię do nich musiałoby być dla was igraszką. Gdy się przekonam, to uwierzę.

— Uważam w tobie, córko moja, zwrot ku gorszemu. Nie mówisz tego z własnego popędu, matka cię psuje!

— Psuje, bo daje mi przekonanie, a wy mówicie mi o objawieniu. Całą siłą mej duszy przyzywam ku sobie objawienie, a ono nie przychodzi. A więc go niema.

— Jest, ale tyś go niegodna!

— Wyście godni? Zjawiło się wam kiedy?

[1]) *Buchty* — narodowa potrawa czeska; są to ciastka duże w formie prostościanu, nadziewane zwykle powidłami, serem z rodzynkami, makiem i t. p. (p. t.).

wieku. Coraz głębiej wrasta w ducha panujących warstw narodu tępa obojętność na sprawy publiczne wraz z okropną dżumą dworactwa i nietolerancyi. W miarę jak posuwamy się po tej linii wstecznego zawrotu, ideały obywatelskie maleją i nikną, aż nastaje pora przesilenia.. Protestanci zeszli zupełnie z pola: w r. 1718 zatamowano na sejmie głos Piotrowskiemu, posłowi ziemi wieluńskiej, dla tej prostej przyczyny, że... był „kalwinem;“ a w roku 1735 odjęto akatolikom na sejmiku w Środzie nawet wolność głosowania przy wyborze posła. Oto kres, u którego stanęli pobożni epigonowie Skargi — gdy obrady potwornego parlamentu peryodycznie zrywano, gdy już rządu nie było. Po złowrogiej ciszy następuje nowa chwila odrodzenia: widnokrąg myślowy naszej awangardy cywilizacyjnej wyjaśnia się powoli i rozszerza.

Prądy wiejące od zachodu przynoszą do Polski ziarno zdrowej reformy. Nowe pokolenia pod wodzą takich, jak Stanisław Konarski wychowawców, świetne rokują nadzieje; zanim jednak staną u rudla okrętu państwowego, zetrzeć się muszą w krwawej walce z przedstawicielami starego nierządu, zerwą nieco laurów, ulegną potem porażce, ale przeżyją Rzeczpospolitą. Jakaż więc jest przeciętna postać ideału obywatela z czasów Stanisławowskich? Ograniczmy się, na grubym konturze obrazu. Może nas zbliży do poszukiwanego typu następna definicya Kniaźnina:

„Któż obywatel? — Ten co swymi trudy
Wspiera los braci, choć przeciwność bije,
Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
„Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!“

Wrotka ta nie zamyka w sobie na pozór żadnej charakterystycznej myśli, podnosi jednak ideę poświęcenia, obcą ludziom przeszłej doby, i nie wszystkim ze współczesnych zrozumiałą. Dalszy ciąg wiersza (*Do obywatela*) przekonywa, że autor nie zwraca się tu do mecenasa, jako jeden ze zgrai dworaków, dla którego interes partyi zastępuje sprawę narodu; owszem płacze nad krajem rzewnemi łzami, patrząc, jak nędza naga wyrasta z drzewa podłości:

„Żądzom podłości popuszczono lic ów —
Stęka kraj nędzny, upadają miasta;
Widać chwast lichy, co z żalem dziedziców
Na gruzach wielkiej budowy porasta...“

Najzupełniejszy podobno wzór obywatela z epoki Stanisławowskiej narysował Krasicki w swym *Panu podstolim*. Tytułowy bohater tej pseudo-powieści jest światłym i uczciwym dziedzicem na dwu wioskach: mieszka on w wygodnym dworze, dba wszechstronnie o polepszenie bytu swych poddanych, przygotowującich ostrożnie do przyjęcia sakramentu wolności; stawia przy pomocy zagranicznego robotnika młyny i groble, naprawia drogi, buduje porządne karczmy (z których poprzednio żydów wypędza); rezonuje w duchu horacyuszowskiego „modus“ o grach i tańcach, wsiach i miastach, królewszczyznach i dobrach dziedzicznych, o różnych stanach społecznych i urzędach, powstaje wreszcie zarówno przeciw zbytecznemu przywiązaniu do starzyzny, jak przeciw lgnieniu do wszystkiego, co cudzoziemskie i nowe; słowem — jestto przeniesiony na prowincyę reformator-encyklopedysta owych czasów, działający pod hasłem polskiego moderantyzmu. Ale odpowiedzmy na rzuconą powyżej kwestyę. Typowy ideał pracownika społecznego ze średnich lat doby Stanisławowskiej, pokrewny nieco wzorom epoki Zygmunta Augusta, przewyższa je o całą głowę: w porządku religijnym przyświeca mu deizm, w sferze socyalnej — idea zrównania stanów — jedno i drugie przykrojone do miary, jaką podsuwa nastrój opinii miejscowej. Wznosi się on aż do teoretycznej pogardy uświęconego wiekami dworactwa; a składając na ołtarzu dobra ogólnego swój klejnot szlachecki, pragnie rozszerzyć zakres działalności obywatelskiej i zludem wzgardzonym podzielić się prawami; krzewi oświatę, popiera przemysł; żąda reformy politycznej, jest mówcą i publicystą; między monarchią a rzecząpospolitą szuka takiego środka ciężkości, któryby pozwolił istnieć nadal, rozwijać się, kwitnąć odrodzonemu państwu — rzuca na szalę losów resztę swego mienia i przegrywa. W jego wystąpieniach dużo było hałasu i teatralnej wystawy, —a przedsięwzięć nie uwieńczyło powodzenie. Następcy posądzili go o fałsz i samolubstwo. *Vae victis!*

A. G. Bem.

(Dokończenie nastąpi).

CZY LICZBA POŻARÓW WZRASTA?

Częste i olbrzymie pożary, wydarzające się zarówno u nas jak i zagranicą, zwracają powszechną uwagę na klęskę, jej przyczyny, statystykę i środki ochronne.

Świeży, straszny pożar, który spustoszył znaczną część Mińska gubernialnego i zrządził szkód na 3,000,000 rubli, skłania nas do pilnego zastanowienia się nad tą kwestyą.

Pytanie postawione w nagłówku niełatwem jest do rozwiązania, wikłają je bowiem bardzo rozmaite czynniki, które z powodu braku dostatecznych danych — trudne są do ujęcia i ścisłego oznaczenia. Nie dość bowiem wyśledzić, czy cyfry pożarów rosną bezwzględnie z postępem czasu; wypada jeszcze sprawdzić, czy powiększają się one w miarę wzrostu ludności, pomnażania się zakładów przemysłowych i t. p.

A priori sądząc, możnaby na dane pytanie odpowiedzieć przecząco. W Europie bowiem, zwłaszcza w zachodniej, gdzie lasów już bardzo mało, budowle stawiają obecnie coraz częściej z materyałów niepalnych; zaledwie po wsiach spotyka się drewniane, a krycie dachów słomą jest tam nawet po większej części surowo wzbronione. W miastach prócz tego ściśle przestrzegają stawiania murów ochronnych (t. z. fajermurów) między dachami domów. Środki ratunku wreszcie coraz bardziej się doskonalą. Sikawki parowe, wodociągi i wybornie wyćwiczone straże są dzielną od ognia obroną.

Jeżeli jednak ulepszenia powyższe zmniejszają liczbę wielkich pożarów, zagęszczanie się natomiast ludności, osad i zabudowań

— Mnie samemu...? — Nie — bronił się zakłopotany Ludwik.

— Skąd więc macie swą wiarę?

— Z pism świętych.

— Moja matka umie je na pamięć, a niewierzy. Powiada mi: Patrz, tutaj masz książkę, a tam świat... Byli poganie — mieli także swe pisma, wierzyli, i zginęli; my dzisiaj plwamy na groby pogan i przeklinamy ich, ponieważ mamy swoje książki, w które wierzymy; przyjdą inne pokolenia, będą swemi pismami zbijać nasze, będą deptać nasze groby i przeklinać nas... Cóż wy na to, panie?

— Że dyabeł wybrał usta twe za mieszkanie swoje. Wołam do ciebie, nędzna poganko, wierz, wierz, bez wahania! Tarzaj się w prochu i ukryj oblicze twe na cię ziemi, albowiem zapytania twe są bluźnierstwem. Niebiosa nie zniżyły się do mnie, nie zniżą się do ciebie, aby żebrać o nasze hołdy. Ale one zetrą cię, jeżeli nie oprzesz się pokusie dyabelskiej, którą zesłały na cię w postaci twej matki. Matka twoja jest narzędziem piekieł, a biada, po trzykroć biada tobie, jeśli za mną, sługą pańskim, nie pójdziesz. Przeklęta będziesz, przeklęta na wieki!

Młody ksiądz stał wyprostowany wysoko przed Małgorzatą; oczy jego błyskały ogniem, a groźne słowa powtarzało echo leśne.

— Zlitujcie się, — ja wierzę, ja chcę być zbawioną! — wyjęknęła przestraszona dziewczyna, i upadła na trawę przed grożącym jej księdzem.

Nakoniec! I znów jedna dusza zbawiona! A jednak zbawca tej duszy, z żelazną wytrwałością podkopujący szańce, za którymi się ukrywała, który ostatecznie jednym wystrzałem rozsadził je a z gruzów wywiódł oczyszczoną, — ten człowiek przeląkł się następstw swego złorzeczenia.

Czuł się jak gdyby oprzytomniałym po napadzie szaleństwa; powiódł ręką po czole, obejrzał się dokoła, rzucił spojrzenie na swą ofiarę, i usiadł obok niej. Wyciągnął kilkakrotnie ku niej rękę, ale jej niedotknął, otworzył usta, lecz nieprzemówił.

Nagle się zerwał, wziął delikatnie w objęcia płaczącą dziewczynę, posadził ją obok siebie i przytulił jej głowę do swej piersi.

— Tu, obok mnie jest twe miejsce, Małgorzato. Nie mogę cię widzieć u nóg człowieka, który aż do tej chwili igrał z twą duszą, jak tygrys z jagnięciem. Posłuchaj mię! Uczyli mię wierzyć, włożyli na moje ramiona olbrzymie zadanie sługi bożego i głosiciela wiary. Chciałem być apostołem całą siłą duszy, postanowiłem walczyć za wiarę całą mocą przekonania. A jednak ten Bóg, którego postawili nademną, mnie nie zaspokoił. I szukałem idei bóstwa w sobie samym. Gdym był osłabłym na duchu, wtedy idea była mdła, gdym był w wyższem napięciu duchowem, to i ona była silna; gdym stał w dymie kadzideł ponad drżącym tłumem, to zbliżała się do pojęć mych nauczycieli, a gdym się zastanawiał nad prawami przyrody, to znajdowałem prawdę w materyalizmie. Skądże ta straszliwa niepewność? Ślepy niezna barw a idyota idei, tamten nie skomponuje obrazu, ten zaś nie utworzy ideału Boga. Idea bóstwa jest więc rezultatem współdziałania czynników wielce zmiennych, a każdy ma Boga takiego, jakim jest sam. Mój Bóg musi być tak silnym, aby nie stał i nie upadał przypadkowo, musi być tak wzniosłym, aby się niedał wtłoczyć do mózgu ludzkiego i nie zniżał do stanowiska prostego wykonawcy praw, jakie mu przepisuje szalona częstokroć wyobraźnia, ograniczoność, a wreszcie złość ludzka. Małgorzato, rozumiesz mię?

S. Tomaszewski.

(Dokończenie nastąpi).

sprzyja im coraz bardziej. Domy nadewszystko zamieszkane przez robotników, tej mrowiskowej, licznej warstwy ludności, stają się bardzo często pastwą płomieni.

Wypadki pożarów pomnaża też coraz większa liczba teatrów i gmachów, przeznaczonych na widowiska publiczne, wznoszenie obszernych magazynów, nowych szop, stodół, składów paszy, oleju, tłuszczów, łoju, materyałów chemicznych, rozpowszechnienie użycia gazu oświetlającego, nafty, rozwój gałęzi przemysłu posiłkujących się motorami ogniowymi i t. p.

Same nawet asekuracye ogniowe, szeroko rozpowszechnione, jeżeli nie przyczyniają się do pomnażania liczby pożarów, czego nie chcemy przesądzać, sprawiają jednak bezwątpienia, że ubezpieczeni—mniej są ostrożni wobec grożącego im niebezpieczeństwa.

Ale przejdźmy do faktów, i porównajmy przedewszystkiem dane statytystyczne, jakich w tym względzie dostarczają wielkie miasta europejskie.

I.

Paryż. Średnia do roku liczba pożarów (nie licząc zapalenia sadzy w kominach), od 1840—1849 jest 214, a od 1850—1850 r. 289,7.

Wynagrodzenie szkód w przybliżeniu wynosi rocznie 563,883 fr. czyli w przecięciu na 1 pożar 2,634 fr. w okresie 1-ym; a 1,081,906 fr., średnio 3,720 fr. na 1 pożar w okresie 2-im (1850—1859).

W okresie trzecim, między 1860 a 1869 rokiem, Paryż powiększył się znacznie przez przyłączenie (w r. 1859) gmin podmiejskich. Liczba fabryk i domów z materyałów palnych ogromnie przez to wzrosła; ulice na tych przedmieściach są kręte i ciasne; mnóstwo tam składów drzewa i materyałów opałowych, składów paszy i machin opalanych; wody natomiast mało, a wodociągi daleko. Wszystko to ogromnie zwiększyło liczbę pożarów w nowym Paryżu.

Podobnież i w trzecim, 10-letnim okresie (1860—1869 r.) średnia liczba pożarów wzrasta rocznie do 839, wynagrodzenie do 3,707,412 fr. czyli do 4,419 fr. na jeden pożar.

Dochodzimy do okresu najnowszego. Pomijając lata klęski: 1870 i 1871, a nawet 1872 (który pod względem statystycznym jest mniej dokładny) widzimy od r. 1873 cyfry następujące:

r. 1873	pożarów 437	wynagrodz.	7,621,301
1874	„ 504	„	3,473,110
1875	„ 592	„	4,104,637
1876	„ 666	„	10,668,819
1877	„ 533	„	2,708,010
1878	„ 775	„	4,708,393
1879	„ 878	„	5,396,030
1880	„ ?	„	8,858,762

W okresie tym średnia pożarów wynosi 627, wynagrodzeń 5,866,882 fr. Ta ostatnia cyfra jest wyjątkowa — spowodowały ją niepospolicie znaczne straty z 1876 r.

Zestawiając wypadkowe cyfry z czterech wymienionych okresów, widzimy ogromne ich zwiększenie w dobie następującej po wcieleniu gmin podmiejskich do obrębu miasta, a następnie znaczne ich zmniejszenie od r. 1873—1880; pomimo to jednak ilość pożarów wzrasta, co jest spowodowane pomnażaniem się zasobu mebli i ruchomości.

Co się tyczy straży ogniowej, ta w Paryżu jest, jak wiadomo, jedną z najwyborniejszych: ciągle, w miarę rozwoju miasta, powiększa się i ulepsza; w zaniedbaniu przeto środków obrony nie można szukać przyczyny danego zjawiska.

Londyn. Licząc wypadki zapalenia się sadzy w kominach razem z właściwymi pożarami, w okresie od 1870—1879 otrzymujemy cyfry następujące:

1870 roku 4,659		1875 roku 3,611	
1871 „ 4,401		1876 „ 4,557	
1872 „ 3,663		1877 „ 4,021	
1873 „ 3,983		1878 „ 4,199	
1874 „ 4,151		1879 „ 4,512.	

W peryodzie siedmioletnim z tych czasów oddzielić możemy cyfry pożarów małych od wielkich:

Pożary wielkie:							
w r.	1874	1875	1876	1877	1878	1879	1880
	154	163	166	159	170	159	162
Pożary małe:							
	1,419	1,366	1,466	1,374	1,489	1,559	1,709
Ogółem:							
	1,573	1,529	1,632	1,533	1,659	1,718	1,871

Łatwo tu zauważyć, że małe pożary wzrosły od r. 1877, pożary natomiast wielkie pozostały w swej ilości niezmiennymi, pomimo ciągłego przyrostu budowli i mieszkańców. Średnia liczba pożarów wielkich w okresie między 1874—1879 r. wynosi tam 161, pożarów małych — 1,483. Stosunek pierwszych do ogółu pożarów wynosi 10,21% podczas gdy w Paryżu stosunek ten dochodzi do 27%.

Jeżeli zważymy, że Londyn liczy obecnie blisko 4 miliony mieszkańców i przeszło 575,000 budowli, to liczba pożarów wyda nam się tam stosunkowo nad podziw mała, pomimo że znaczna część domów, wznoszona na placach emfiteutycznych, mając być zwrócona właścicielom, stawia się z bardzo lekkich materyałów. Ale zauważyć trzeba, że domy w Londynie z małymi wyjątkami mają tylko po dwa piętra, a zamieszkane bywają przez pojedyncze rodziny. Szanse przeto pożaru są tu znacznie mniejsze, niż w Paryżu, gdzie domy są w przecięciu 4-piętrowe, i mają średnio po 8 lokalów.

Straż ogniowa w Londynie stosunkowo jest bardzo szczupła na tak wielkie obszary miasta; obrona więc od ognia polega głównie na siłach prywatnych.

Berlin. Liczba pożarów w ostatnich sześciu latach przedstawiała cyfry następujące:

Pożarów r.	1875	1876	1877	1878	1879	1880
Wielkich „	40	28	25	23	28	28
Średnich „	59	61	46	53	52	60
Małych „	948	1018	1007	1128	1552	1366
Ogółem „	1047	1107	1078	1204	1633	1454

Zwiększenie, choć niejednostajne, jest jednak widoczne i znaczne.

Pożary sadzy w kominach nie są tu liczone.

Na 100 pożarów przypada tam 3,28 wielkich, 5,77 średnich, i 90,95 małych.

Straż ogniowa w Berlinie jest wzorowa, telegraf miejski głównie na jej usługi oddany.

Wiedeń. Mamy dane tylko od roku 1870—1879 bez żadnych szczegółów; publikacye bowiem w tej gałęzi zarządu miasta są tam bardzo skąpe. *Wiener Assecuranz* podaje cyfry następujące:

1870 roku 356		1875 roku 394	
1871 „ 368		1876 „ 408	
1872 „ 333		1877 „ 397	
1873 „ 316		1878 „ 381	
1874 „ 294		1879 „ 384	

Średnia pierwszego pięciolecia wynosi tu 334, drugiego 393; wzrost to znaczny; bo też od r. 1875—1879 ludność i zabudowanie Wiednia bardzo się powiększyły.

Na drugiej półkuli znajdziemy stosunki podobne. Niektóre z tamecznych miast wielkich, jak Chicago i Boston nabyły nawet smutnej sławy z olbrzymich pożarów.

Nowy-York. Liczba pożarów (nie licząc zapaleń sadzy) wzrasta tam nader znacznie; szkody jednak przez nie zrządzone maleją; służy to za wskazówkę, że ratunek doskonali się coraz bardziej.

Rok	Pożar.	Szkody w dol.	Rok.	Pożar.	Szkody w dol.
1866	796	6,428,000	1871	1258	2,127,256
1867	873	5,711,000	1872	1844	4,268,440
1868	740	4,341,000	1873	1398	1,648,795
1869	850	6,626,393	1874	1410	1,328,841
1870	964	2,120,212	1875	1373	2,340,500
Śred.	844	4,345,521	—	1456	2,542,766

Należy przytem pamiętać, że Nowy-York trzyma pierwsze miejsce w świecie pod względem szybkości działania swej straży ogniowej.

Chicago. Miasto prawie całkowicie zniszczone przez straszliwy pożar w r. 1871, zostało z gruntu odbudowane w ciągu lat czterech. Średnia liczba roczna pożarów w okresie od 1863—64 do 1880 r., podzielonym na dwa ośmioletnie podokresy (granicami klęsk znacznych w r. 1869—70 i 1870—71) przedstawia się jak następuje:

Okresy	Liczba średnia: pożarów	szkód
1863/64—1872/73	323	7,040,185;
1873—6880	536	4,333,181.

O ile liczba pożarów ogromnie tu wzrosła, o tyle szkody przez nie zrządzone uległy znacznemu zmniejszeniu; zawdzięczyć to należy świetnej straży ogniowej, uorganizowanej w r. 1871 na wzór londyńskiej. Straż ta nietylko spieszy na ratunek w razie wypadku, ale czuwa zarazem stale nad zabezpieczeniem miasta od pożogi.

Filadelfia. Liczba średnia pożarów od 1869 do 1872 wynosiła tam 668; przeciętna szkód—6,339,150 franków, czyli na 1 pożar 9,481 fr. (jest to najwyższa znana cyfra). W r. 1878 i 1879 liczba pożarów wynosiła tam 730 i 739; szkody 1,534,911 i 1,526,518 dolarów. I tu wzrost liczby pożarów jest bardzo widoczny.

Zestawiając wreszcie cyfry pożarów w oznaczonych wyżej miastach z ilością zaludnienia, oraz ze średnią liczbą szkód i mieszkańców, przypadającą na 1 pożar, otrzymamy następne dane:

Miasta	Okresy	Liczba średnia pożarów.	Wynagrodzenie średnie na 1 pożar.	Mieszkańców na 1 pożar.
Paryż	1873—1880	627	9,367	3,335
Londyn	1874—1880	1,645	?	2,066
Berlin	1875—1880	1,251	?	807
Wiedeń	1874—1879	376	?	1,875
Nowy-York	1871—1875	1,456	15,762	824
Chicago	1873—1880	526	4,333	956
Filadelfia	1878—1879	734	10,427	9,400

Widzimy stąd, że największa ilość pożarów w stosunku do ludności miała miejsce w Berlinie, potem w Nowym-Yorku i Chicago, najmniejsza zaś w Filadelfii oraz w Paryżu i Londynie. Co do średniej ilości wynagrodzenia szkód pożarowych, to największą jest ona w Nowym-Yorku i Filadelfii.

II.

Czy ogólna liczba pożarów w całych krajach wzrasta?

Dane statystyczne w tym przedmiocie są rzadkie lub mało znane. Oto niektóre z nich:

Francya. Od r. 1873—1877 (nie licząc wypadków zapalenia sadzy) mamy tu cyfry następne:

1877 roku 12,318
1876 „ 11,969
1875 „ 12,299
1874 „ 14,071
1873 „ 12,190.

Widocznem jest, że w tem pięcioleciu liczba pożarów była prawie stała.

Szkody natomiast, zrządzone przez pożary w latach powyższych znacznie się zwiększały; bo z 38,494,695 fr. w r. 1873, urosły w r. 1877 do cyfry 44,875,999 fr.

Niemcy. Całość pożarów znamy tu w kilku tylko państwach pomniejszych.

I tak np. w Saksonii przedstawia się ona w następnej postaci:

1873 roku 1,060		1877 roku 1,258	
1874 „ 1,096		1878 „ 1,283	
1875 „ 1,103		1879 „ 1,350	
1876 „ 1,123.			

Przyrost tu ciągły, widoczny i stały: napotykamy go również i w cyfrach wynagrodzenia szkód pożarowych.

Austrya. Pożary i tu znacznie się z biegiem czasu pomnożyły:

1871 roku	4,293	1875 roku	4,529
1872 „	5,265	1876 „	5,001
1873 „	5,501	1877 „	6,125
1874 „	5,244	1878 „	5,690.

Stany zjednoczone i Kanada jeszcze widocznej przedstawiają ten przyrost:

Lata.	Pożarów.	Szkody w mil. dolarów.	Wynadrodzenia w m. dol.
1876	9,301	73,8	38,3
1877	10,403	97,5	48,0
1878	12,023	70,3	39,7
1879	12,849	89,4	48,3
1880	11,201	79,8	44,9.

Cesarstwo Rosyjskie i Królestwo Polskie. Dane z różnych okresów przedstawiają tu cyfry następujące:

Okres.	Średnia rocz.	Rok.	Pożarów.	Szkód w rs.
1845—1849	7,466	1875	25,976	64,096,896
1850—1854	7,271	1876	27,565	56,360,719
1855—1859	10,288	1877	25,953	50,007,000
1860—1864	15,958	1880	32,961	68,100,343

Przyrost tutaj jest nawet większy stosunkowo od przyrostu ludności i zabudowań. Według dekumentów urzędowych, $1/6$ ogólnej ilości pożarów wynika tu z podpalenia. Do takich nadto rezultatów przyczynia się u nas brak straży ogniowych, brak dobrych narzędzi ratunkowych, budowanie po większej części z drzewa, a nadewszystko robienie dachów ze słomy, co na zachodzie Europy jest rzeczą coraz rzadszą.

Z powyższego przeglądu widzimy, że choć liczba pożarów w stolicach stopniowo się powiększa, nie przedstawia jednakże tak wielkiego, jak przyrost ludności i zabudowań — stosunku.

Pocieszający ten objaw przypisać należy głównie coraz powszechniejszemu zaprowadzaniu — twardego, mineralnego pokrycia dachów, ulepszeniom technicznym w budownictwie domów i pieców, a nadewszystko coraz liczniejszemu zakładaniu straży ogniowych miejskich, i obowiązkowej wszędzie konserwacyi narzędzi ratunkowych.

Postęp w tym kierunku i coraz nowe ulepszenia wpłyną zapewne na ograniczenie do minimum dotkliwej plagi ogniowej.

S. Cz.

ZJAZD
PRZYRODNIKÓW I LEKARZY POLSKICH
W KRAKOWIE.

Kraków, 24 lipca.

Obecny zjazd jest już trzecim u nas wiecem naukowym. Podejmuje on pracę rozpoczętą przez zjazd krakowski z r. 1869, oraz lwowski z r. 1875, po którym naznaczono termin nowego zjazdu na r. 1878, ale zachmurzony horyzont polityczny nie pozwolił wykonać projektu. Dopiero na początku r. 1880 krakowskie Towarzystwo Lekarskie podjęło na nowo tę myśl płodną a ważną, i zorganizował wydział gospodarczy przyszłego zjazdu, w którego skład weszli między innymi: prof. Janikowski, prof. dr. Domański, dr. Kazimierz Grabowski, dr. Wasylewski i dr. Jan Rosner. Po zgonie d-ra Janikowskiego przewodniczącym wydziału został dr. Jordan, a jego pomocnikiem dr. Edward Janczewski. Po ustaleniu ostatecznem obecnego terminu zjazdu, podjęto płodną myśl urządzenia wystawy przyrodniczo - lekarskiej, której urzeczywistnienie zawdzięczyć należy głównie specyalnemu komitetowi, pod przewodnictwem zasłużonego twórcy i dyrektora muzeum przemysłowego, d-ra Adryana Baranieckiego.

Układając plan działań zjazdu, wydział gospodarczy postanowił, że odbędą się 3 posiedzenia publiczne, i urządził podział na sekcye.

Niepodobna tutaj wyszczególnić całego planu zajęć w różnych gałęziach wiedzy przyrodniczej; ograniczymy się więc tylko na wskazaniu nazwisk uczestników i wymienieniu głównych przedmiotów ich rozpraw. W sekcyi matematycznej przyjęli udział: dr. Birkemayer, dr. Konitz, prof. dr. Kuczyński, Tom. Miletycki, dr. Ochorowicz, prof. Szumowski, dr. Wierzbicki i prof. Fabian. Dr. Kuczyński ma okazać przyrząd własnego pomysłu, wyjaśniający barwę głosu; Tom. Miletycki objaśni nowy sposób eksperymentowania zjawisk światła, dr. Ochorowicz budowę i znaczenie mikroskopów. W sekcyi chemiczno-farmaceutycznej dr. Bogucki mówić będzie o wpływie temperatury na przebieg reakcyi kwasu węglowego, dr. Bogdan Hoff—o nowym sposobie otrzymania cukru i wyskoku z borowiny. Zabiorą także głos: prof. Freund, prof. Hoff, dr. Bryll, prof. dr. Julian Grabowski, dr. Lachowicz, dr. Radziszewski i inni. W sekcyi mineralogiczno-geologicznej mówić mają między innymi: prof. dr. Alth—o wapieniu jurasowym na Podolu, prof. Hoff Bogdan—o nowym minerale z okolic Krakowa, inżynier Win. Kosiński o badaniach celem wynalezienia soli w Królestwie Polskiem i o kopalniach olkuskich; w sekcyi botaniczno-zoologicznej: dr. med. Chudoba Karol, p. Heelich (z Pragi), prof. Br. Gustawicz, ks. kanonik Gregorek Wojciech (z Bochni), prof. dr. Janczewski, doc. Kamiński (o wodorostach), Nowakowski, prof. Rostafiński (o budowie komórek u niższych wodorostów). Z zakresu prac sekcyi przyrodniczo - gospodarskiej wiemy tylko dotąd o wykładzie prof. Tynieckiego, który mówić będzie o grzybach pasorzytnych na drzewach leśnych.

W dziale nauk lekarskich, sekcyi medycyny teoretycznej zajmą głos: prof. dr. Adamkiewicz, (który przedstawi preparaty, dotyczące chorób rdzenia pacierzowego), prof. dr. Browicz, dr. Kramsztyk, dr. Majsel i inni. W sekcyi medycyny wewnętrznej wygłoszą rozprawy: dr. J. Czarda z Pragi—o syfilisie słuchu, prof. dr. Domański, dr. L. Glück, dr. Goldhaber, doc. dr. Janowski z Pragi, dr. Leon Kopf, i wielu innych; w sekcyi medycyny zewnętrznej: dr. Kobyliński (12 kwestyi z dziedziny dentystyki), dr. Wolberg (o zrywaniu i odtwarzaniu się nerwów), dr. Zaleski i inni.

Sekcya medycyny publicznej obfituje w żywotne i ciekawe przedmioty rozpraw. Mówić w niej będą: dr. Bolohradsky, czech—o samobójstwie i obłędzie, dr. Lutostański, o hygienie Galicyi i Krakowa, o reformie hygienicznej szkół i fałszowaniu pokarmów, dr. Markiewicz—o mleku leczniczem i karmieniu niemowląt, i t. d. Oprócz tego, dla dla wszystkich sekcyi lekarskich, dr. Ochorowicz podejmie się wykładu „o magnetyzmie,“ na którym ujawni ciekawe podobno rezultaty własnych badań i doświadczeń.

Przydługa ta nieco litania nazwisk, świadczy wymownie o tem, że mamy dosyć ludzi mogących w dziedzinie nauki pozostawić coś nowego. Całkowitą listę tych pracowników podaje pierwszy numer „Dziennika III Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich,“ którego redakcyę z polecenia zjazdu prowadzi dr. Kazimierz Grabowski, przy pomocy dr. Kopfa i dr. Tytusa Wasylewskiego. Dziennik ten wychodzić ma podczas trwania zjazdu i stanowić będzie żywą kronikają czynności. Oprócz tego wydział gospodarczy przygotował dla uczestników jako cenny podarek, piękną publikacyę: *Zbiory przyrodnicze i lekarskie miasta Krakowa*, zawierającą na 12 arkuszach druku, opis i treściwą historyę tych instytucyj naukowych. W innym jeszcze kierunku organizacya zjazdu okazała dowody energii, mianowicie urządziwszy biuro informacyjne i kwaterunkowe, dające przybyłym gościom różne wskazówki i ułatwienia.

Tym usiłowaniom odpowiedziało liczne zgromadzenie się przyrodników i lekarzy, wśród których znajdujemy poważny zastęp czechów, witanych bardzo sympatycznie. Uroczyste otwarcie zjadu nastąpiło w d. 21 b. m. w sali aktowej gimnazyum św. Anny. O godzinie 10 sala wypełniła się po brzegi gośćmi i widzami. Na siedzeniach honorowych zajęły miejsce wybitne znakomitości zjazdu. Na trybunę wystąpił dr. Jordan, jako przewodniczący wydziału gospodarczego, i zagaił posiedzenie krótką a treściwą przemową: wspomniał o poprzednich zjazdach, i złożywszy hołd pamięci dr. Janikowskiego, powitał serdecznie wszystkich zgromadzonych, a na zakończenie zaproponował, aby wybrano na prezesa honorowego dr. Majera, prezesa akademii, który obecnie obchodzi 50-letni jubileusz swego zawodu. Gdy całe zgromadzenie przyjęło ten wniosek z pełną zapału jednomyślnością, wzruszony jubilat przemówił serdecznie i gorąco: dziękując za objawy sympatyi, podniósł znaczenie dawniej odbytych zjazdów, i potrącił nawiasowo o wspomienia młodości szkolnej, które mu nasunął widok sali, gdzie przed 60 z góry laty stawiał pierwsze kroki na ciernistej ścieżce pracy umysłowej. Po przemowie jubilata ukazali się na trybunie, przybrani w stroje narodowe, prezydent miasta, dr. Weigel, oraz wice-prezydent, p. Muczkowski.

Z kolei potem obrano na przewodniczących zjazdu: dr. Szokalskiego z Warszawy, dr. Bronisława Radziszewskiego ze Lwowa, dr. Antoniego Rollego z Kamieńca Podolskiego; na zastępców: dr. Ant. Fricza z Pragi, dr. Rydygera z Chełma, i dr. Niedźwieckiego ze Lwowa. Gdy wybór ten przyjęto znowu przez aklamacyę, dr. Majer ustąpił miejsca prezydyalnego d-rom Szokalskiemu i Friczowi. Pierwszy w pięknej przemowie podziękował zgromadzeniu za zaszczyt, jaki mu wyświadczyło; rzucił okiem na wzrost nauki lekarskiej porównywając stan jej opłakany przed 25 laty z obecnym, gdy pięciuset lekarzy i przyrodników zgromadziło się dla obradowania nad postępem wiedzy polskiej, przypisał wreszcie główną zasługę wytworzenia takich stosunków, d-rom Ditlowi i Majerowi, którzy wykształcili nową generacyę, nową społeczność naukową. Przemówił następnie w języku czeskim dr. Fricz, który sympatycznie a treściwie zaznaczył bratnie stosunki polaków z czechami na niwie naukowej i społecznej. Po wymienieniu nazwisk delegowanych od różnych towarzystw naukowych polskich i czeskich, po odczytaniu telegramów, nadeszłych od lekarzy polskich z Poznania, Berna, Londynu i Kazania, wybrano komisyę do oceny przedmiotów wystawy przyrodo-leczniczej w Sukiennicach, poczem na wniosek dr. Jordana postanowiono, aby przyszły zjazd odbył się w Warszawie, i z tego powodu uchwalono odnieść się z odpowiednią petycyą do tutejszego naczelnika kraju. Posiedzenie zakończyło się zajmującym odczytem prof. Radziszewskiego o „fosforescencyi.“

Po południu o godzinie 3-ej tłum gości i ciekawych zwiedzał wystawę w Sukiennicach, a niezależnie od tego różne sekcye zjazdu odbywały swoje posiedzenia. Wieczorem przedstawiono w teatrze „Konfederatów“ Mickiewicza wobec niesłychanego natłoku widzów.

Następnego dnia w przedpołudniowych godzinach goście krakowscy odbywali narady naukowe na posiedzeniach sekcyjnych w różnych salach szkolnych i pracowniach. Współczesność tych prac była powodem pewnych niedogodności, które starano się usunąć, tworząc posiedzenia połączonych sekcyj. O godzinie 1-ej tego dnia, zgodnie z programem, odbyliśmy malowniczą wycieczkę do Wieliczki.

Jak zwykle przy takich uroczystościach, popłynęła obfitą strugą wymowa okolicznościowa; prof. Majer, dr. Fricz, dr. Szokalski, dr. Kosmiński i inni przemawiali,

rozwinąwszy całą wrodzoną i nabytą swadę, tem żywiej, że serdecznym ich słowom wtórowały gorące oklaski słuchaczów. Urocze dźwięki muzyki, którą grała wspaniałe melodye, pyszne oświetlenie salin, ochocze nareszcie pląsy w sali balowej dały uczestnikom szereg rozkoszy, które uwieńczyło za powrotem do Krakowa przedstawienie dramatu *Kościuszko*.

Trzeci dzień pobytu gości polskich w Krakowie rozpoczął się od oglądania zbiorów i osobliwości miasta. O godzinie 11-ej zjazd odbył posiedzenie, poświęcone wyłącznie oddaniu czci 50-letnim zasługom prof. Majera, prezesa akademii. Sympatyczny ten obchód rozpoczął się od wręczenia jubilatowi dyplomu na honorowego obywatela Krakowa, przyczem prezydent miasta wygłosił stosowną mowę, po której ofiarowano Majerowi, dyplom honorowy i wypowiedziano cały szereg oracyj, poświęconych różnostronnym zasługom sędziwego profesora.

Godnymi uwagi były na tem posiedzeniu objawy sympatyi czechów dla polskiej inteligencyi, ujawnione żywym głosem, oraz w wielu nadesłanych telegramach i pozdrowieniach. Posiedzenie to zamknął odczyt dr. Dobrzyckiego, o zasadach badania przyczyn chorób w ogólności. Wieczór tego dnia uświetniony został wspólną ucztą na cześć jubilata. W ostatnim dniu trwania zjazdu odbyły się rano posiedzenia sekcyjne, a po mozolach naukowych, wieczorem, całe grono ożywiło się na wspólnej wycieczce do Tęczynka, oraz w czasie ochoczej biesiady w lasach Krzeszowickich.

Określając naukowe znaczenie zjazdu, wyznać musimy, że były na nim przedstawiane prace niemałej doniosłości, większość zaś należała do tych robót średnich, które aczkolwiek nie popychają nauki na olbrzymie tory, świadczą jednak wymownie, że przedstawiający je pracownicy znają gruntownie metody badania i cały obszar swej specyalności.

Aby jednak ocenić ważność zjazdu dokładnie, trzeba się koniecznie uciec do metody, którą zawsze należy stosować, gdy chodzi o wyrobienie sobie jasnego o przedmiocie pojęcia. Jestto metoda porównań. Otóż zjazd krakowski, w porównaniu ze zjazdami niemieckich uczonych, ustępuje im bezwarunkowo — zarówno pod względem liczby, jak i naukowego znaczenia badań i badaczów; przewyższa je może o wiele pod względem serdeczności i... wystawności przyjęcia. Lecz ta strona, naszem zdaniem, nie może być brana pod uwagę; trzeba więc powiedzieć sobie jasno i otwarcie, że jeszcze w ogólnej europejskiej nauce nie dostroiliśmy się do tej wysokości, na jakiej ona stoi za granicą. Zdanie to wypowiedział wyraźnie prof. Szokalski przy otwarciu zjazdu, a chociaż robiono mu z tego zarzut, chociaż mówiono, że nie należy w obec pobratymców czechów samym się poniżać (!), nie mniej przeto ośmielamy się utrzymywać, że prawda wypowiedziana otwarcie, czy to w cztery oczy, czy na publicznem ostentacyjnem posiedzeniu, zawsze tylko dobre przynieść może skutki.

Lecz jeżeli porównanie z zagranicą nie wypada na naszą korzyść, to jest jeszcze inne stanowisko dla jego oceny, stanowisko, które koniecznie uwzględnić należy, bo rzuca ono ważne światło na stan nauki ścisłej u nas, i na kierunek, w jakim się ona rozwija.

Otóż 5 lat temu odbywał się we Lwowie II zjazd przyrodników i lekarzy, który pod względem towarzyskim powiódł się doskonale, lecz pod naukowym chybił... Sekcya chemiczna np. odbyła wszystkiego tylko 2 posiedzenia, a i tych nie było czem wypełnić; oglądano więc pracownię chemiczną i robiono doświadczenia lekcyjne... Dziś, po latach 5-ciu, taż sama sekcya chemiczna odbyła cztery posiedzenia plenarne (jedno w połączeniu z sekcyą fizyczną), a i tego czasu nie wystarczyło na przedstawienie wszystkich przywiezionych prac, i wiele z nich spadło z porządku dziennego.

Nietylko wszakże liczba prac, lecz, co ważniejsza, liczba pracowników wzrosła znacznie; do nauki coraz więcej garnie się młodzieży, a fakt ten, jak zauważył prof. Szokalski, jest tak nowym, tak niepodobnym do tego, co się działo u nas w 53-im roku, że nietylko cieszyć się zeń można, lecz mimowolnie dziwić i niedowierzać.

Pięć lat czasu, pomiędzy II-im i III-im zjazdem, zaznaczyło się tak olbrzymim postępem, i to nie tylko w chemii i fizyce, lecz w całej w ogóle nauce ścisłej, że najśmielsze nawet marzenia nie sięgały przed pięciu laty tak daleko, jak dziś doszła rzeczywistość. Dość jest przejrzeć dziennik III zjazdu, porównać go z dziennikiem II, by się o słuszności tych słów przekonać.

Nie może być, żadną miarą zadaniem *Prawdy* najogólniejsze nawet streszczanie prac przedstawionych na zjeździe. Zaznaczyć tylko wypada, iż na połączonych sekcyach medycyny postanowiono, aby na przyszłe zgromadzenie wybrani teraz lekarze zbadali szereg zagadnień specyalnych, i w systematycznem literackiem opracowaniu przedstawili zjazdowi. Postanowienie takie jest bardzo trafne i pożyteczne, nie tyle ze względu na naukę samą, ile ze względu na lekarzy przybywających z prowincyi; da im bowiem możność obznajmienia się ze stanem pewnej kwestyi w całej Europie, niezależnie od szczegółowych, samodzielnych badań polaków.

Powyższy wniosek połączonych sekcyj medycyny w innych sekcyach przyrodniczych nie przeszedł, i słusznie; bo jak zauważył prof. Radziszewski, referaty mogą być korzystne i ogólnie interesujące tylko w naukach praktycznych, nie zaś w teoretycznych, w których wszystkie sprawy są równie ważne, i w których nie można zmuszać nikogo do zajmowania się tym lub innym przedmiotem.

Nakoniec wypada zauważyć, że prof. Czyrniański podniósł sprawę ujednostajnienia terminologii chemicznej, sprawę ważną bardzo ze względu na uczącą się młodzież. Otóż chemicy z Warszawy w zasadzie zgodzili się na ustępstwa ze swej strony; opracowanie jednak w szczegółach całej tej kwestyi postanowiono odesłać do Akademii Umiejętności i tam ją gorąco poprzeć. Tak więc, gdyby tylko ten jeden rezultat został osiągniętym z prac III-go zjazdu, to już znaczenie jego dla krajowej oświaty byłoby doniosłem.

OPINIA.

Mój przyjaciel Kalasanty
Był mężem niezwykłej miary:
Jadł, pił, pożyczał na fanty,
I ciułał bite talary.

Za jakąś wekslową chryję
Przesiedział rok na uboczu,
Raz dostał w twarz, a raz kije,
Potem straciłem go z oczu.

Nagle widzę go w Tryeście—
Z duszą cokolwiek zbolałą;
Miał on majątek nareszcie,
Ale humoru zbyt mało.

Biedak, lękał się opinii,
Stał się drażliwy i dziki;
Do brata, gdzieś tam w Wirginii
Chciał jechać, do Ameryki.

Odradzałem. Zostań, rzekłem,
Spocznij po żywota trudzie;
Kraj nasz nie jest jeszcze piekłem,
Wierz mi, i u nas są ludzie.

Został. Podobno we Lwowie
Otwiera dom. A Wirginia?
Głupstwo, ani mu już w głowie.
Pojechała tam opinia.

M. Rodoć.

PRZEPOWIEDNIE BURZ.

Postępy meteorologii idą naprzód bardzo wolnym krokiem. I nic dziwnego; atmosfera otaczająca kulę ziemską jest tak olbrzymią, tak ruchomą, tak łatwo ulegającą wszelkim wpływom, że prawa, które rządzą jej zmianami nadzwyczaj są trudne do odnalezienia A jednak, mimo to, gmach nauki meteorologicznej ma już swoje pewne i stałe fundamenty, obiecujące, że stanie na nich budowa wspaniała.

Do najpiękniejszych odkryć z tej dziedziedziny należy dokładne poznanie przebiegu wielkich burz, przenoszących się po oceanach.

I tak np. znamy obecnie drogę, po której dążą ku wybrzeżom europejskim burze, powstające w okolicach zatoki Meksykańskiej. Każda taka burza jest rodzajem wiru powietrznego, co dało jej nazwę cyklonu; około rozrzedzonego słupa powietrznego kręcą się wichry, zawsze w jednym kierunku. Szybkość obrotu bywa nieraz prawdziwie szaloną. Gdyby centrum obrotu pozostawało na miejscu, to po pewnym czasie, na temże miejscu burza by przygasła. Lecz się dzieje zawsze inaczej. Owo centrum pędzi naprzód po powierzchni oceanu, opisując parabolę, której wierzchołek przypada zwykle na 30° — 35° szerokości północnej. Cyklon taki ma podobieństwo do wirowego tańca, przesuwającego się po powierzchni Atlantyku.

Orbity biegu burz zostały tak dobrze poznane, że dziś już z góry można wiedzieć, skoro się tylko burza około wybrzeży amerykańskich zacznie, którędy pójdzie i ile czasu będzie potrzebowała na przybieżenie do Europy. Na tem właśnie opierają się przepowiednie przysyłane do dzienników europejskich, przez najbogatszy w świecie całym dziennik *New-York Herald*. Właściciel tego pisma porozdzał w różnych stronach stacye obserwacyjne, wszedł w stosunki ze wszystkiemi obserwatoryami, które co dzień do biura centralnego telegrafują o rezultatach spostrzeżeń.

Tam oznaczają, skoro się tylko burza ukazała, jaka była jej droga początkowa, a potem dorysowują dalszą gałąź paraboli, aż do wybrzeży europejskich; z kawałka paraboli, można wnioskować o jej przedłużeniu. W ten sposób dochodzą do nas po drodze telegraficznej ostrzeżenia, wyprzedzające o kilka dni burzę.

Obecnie chodzi o zastosowanie takich przepowiedni w innych strefach, na oceanie Indyjskim. I tam burze cyklonowe ulegają ścisłym prawom przebiegu. Tak np. cyklon, przebiegający w okolicach wyspy „Maurice“ dostaje się do „Réunion“ w 18—24 godzin. Gdyby istniała komunikacya telegraficzna między obu wyspami, to okręty, nie posiadające na „Réunion“ żadnego dobrego portu, mogłyby uciekać, zaraz po ostrzeżeniu, przysłanem po drucie podmorskim. I teraz tak czynią, skoro tylko zobaczą znaki zapowiadające bliską katastrofę. Zawracają one w takim razie zwykle na północ, bo tam największe jest prawdobieństwo niespotkania rozszalałych wichrów.

Teraz czynią to na podstawie prawdopodobieństwa. Gdyby zaś urządzona już była komunikacya elektryczna, to zagrożeni otrzymaliby w porę—zupełnie pewną zapowiedź, i wiedzieliby dokładnie, w którą stronę należy uciekać.

To też komendant, p. Bridet, podał do ministeryum marynarki raport, żądający zaprowadzenia liny podmorskiej, raport,

w którym nadzwyczaj jasno a dobitnie przedstawia wynikające stąd korzyści, i wykazuje klęski materyalne, jakie wskutek braku takiej komunikacyi spadają na mieszkańców, na marynarzy, na mosty, magazyny, szalupy, słowem na wszystko, co potęgą burzy mogło być zniszczone.

Astronom Faye, któremu zawdzięczamy tyle prac znakomitych na polu teoryi burz, zdawał sprawę z raportu p. Bridet w akademii umiejętności, popierając go wymownem słowem.

* * *

Ponieważ we wszystkich gałęziach wiedzy stosowanej, postęp tak szybkim idzie krokiem, więc zdaje się, że przyszedł już czas, aby problemat meteorologiczny został nareszcie ze wszystkich stron zaatakowanym, z całą potęgą, jaką nowa nauka rozporządza, i siłą środków materyalnych, które rządy powinny na ten cel wyznaczyć.

Słychać ze wszech stron jedno wołanie: jak najwięcej stacyj meteorologicznych, we wszystkich stronach i zaułkach świata! W pasach umiarkowanych posiadamy ich dość znaczną ilość; ale w okolicach zwrotnikowych i koło biegunów ziemi zbyt mało. A przecież są to strefy najczynniej wpływające na wywoływanie wielkich przewrotów w atmosferze.

Szczególniej biegun północny (niemówiąc już nic o południowym) był dotychczas pod tym względem zanadto upośledzony. Słusznie zauważył słynny austryacki podróżnik Weyprecht, po powrocie z nowo odkrytej Ziemi Franciszka Józefa, że pieniądze i siły, stracone na docieranie do bieguna północnego, daleko pożyteczniej dla ludzkości dałyby się zużytkować na urządzenie w strefach biegunowych—stacyj meteorologicznych.

Jak się zdaje, biegun ziemi nie jest wcale punktem bardzo się różniącym od jakiegokolwiek innego punktu w jego pobliżu. A jednak jest on oddawna celem wyścigów międzynarodowych. Każde z państw, posiadających flotę, uważa sobie za punkt honoru zatknąć przed innymi swój sztandar narodowy na punkcie, przez który przechodzi oś ziemska. Bardzo to zaiste kawalerska emulacya; szkoda tylko, że tyle na to wydano pieniędzy; że tyle szlachetnych ofiar krwi pochłonęły lody północy. Dosyć przypomnieć Franklina, którego śladów z taką gorliwością szukały rządy i przywiązana żona, aż w roku ubiegłym dopiero odnaleziono szczątki jego wyprawy. Zginęli wszyscy, co do jednego, z głodu, mrozu i wyniszczenia. Zdaje się nawet, że zmuszeni byli do karmienia się trupami współtowarzyszów. I teraz jest obawa, że podobnego rodzaju dramat odgrywa się w pobliżu bieguna. Redaktor dziennika *New-York-Herald*, o którym wyżej mowa, wysłał w roku zeszłym nową wyprawę celem dotarcia do bieguna. Wyekwipowana doskonale „Jeanetta" pojechała w kierunku gwiazdy polarnej i zginęła. Żadnej wiadomości od długich kilkunastu miesięcy. Może gdzieś, ściśnięta lodami, wyczekiwać musi przypadkowego roztajania lodów? Może już zginęła pośród kraju wiecznej zimy? A może, (oby się to stało w rzeczywistości!) odważni podróżnicy dotarli już do bieguna i zatknęli u celu wędrówki gwiaździsty sztandar Stanów Zjednoczonych! W każdym razie najprawdopodobniejszą jest smutna katastrofa, i dlatego też wysłano już w kierunku obranym przez „Jeanettę" dwa okręty na pomoc.

Gdy już taka żądza koniecznego dotarcia do bieguna opanowała ludy rywalizujące ze sobą w żeglarstwie, życzyćby należało, aby upragniony cel wyścigów międzynarodowych mógł być jaknajprędzej osiągniętym. Wtedy tym swobodniej i z tym większym zapasem sił rzucą się następcy śmiałych żeglarzy do zakładania stałych stacyj meteorologicznych w podbiegunowych strefach, i nauka meteorologii szybszym krokiem naprzód podąży.

B. A.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Pamiętnik Fizyograficzny, wydany staraniem *E. Dziewulskiego* i *Br. Znatowicza*. Tom 1 str. 464.

Wśród zupełnej posuchy na dzieła poważnej, naukowej treści, ukazanie się *Pamiętnika* jest zjawiskiem co najmniej niezwykłem, a w każdym razie pocieszającem. Ci, co bliżej są obeznani z trudnościami, jakie wydawcy przezwyciężyć musieli, aby zamierzone dzieło doprowadzić do końca, nie mogą nie przyklasnąć ich energii, jak niemniej pomysłowości w wynajdywaniu środków materyalnych na to kosztowne wydawnictwo, którym równe gdzieindziej, za granicą, tylko przy udziale rządów lub bogatych towarzystw wychodzą. Składki zbierane między wychowańcami b. Szkoły Głównej i Uniwersytetu, następnie szereg odczytów przyrodniczych w Resursie Kupieckiej, a wreszcie bezinteresowne ofiarowanie artykułów— oto środki, jakim zawdzięczamy cenny dla piśmiennictwa naszego nabytek.

Rozejrzyjmy się w treści *Pamiętnika*, aby poznać jego znaczenie zarówno dla ogólnej nauki, jak i specyalnie — dla naszego kraju. Znaczenie to najlepiej określa przedmowa samych wydawców, jasno pojmujących cele, do których dążą, i środki, jakimi rozporządzają.

„Poza obrębem nauki powszechnej, kosmopolitycznej"—mówią wydawcy—„która panuje w akademiach i przemawia jednakowemi słowami ze wszystkich katedr świata, każde społeczeństwo ma jeszcze obszerną sferę spraw naukowych czysto miejscowego znaczenia. Stosunki przyrodzone danego kraju, jego klimat, wody, które się w nim znajdują, kształt samej powierzchni ziemi, wewnętrzny jej skład i budowa, twory ożywione ze świata roślinnego i zwierzęcego, które na niej żyją, a nakoniec przyrodzone cechy i właściwości samego człowieka, zamieszkującego dany kraj, — oto przedmiot nauki lokalnej, fizyografii kraju. Porównana z nauką w zwykłem słowa znaczeniu, fizyografia posiada może podrzędne znaczenie; jej zakres działania ograniczony, metody prostsze — wnioski raczej praktyczne, niż filozoficzne. Jest ona poniekąd nauką stosowaną.". Ale społeczeństwo, które z postępów wiedzy pragnie wysnuć rzeczywiste" (mybyśmy powiedzieli: „praktyczne") korzyści, musi koniecznie zwrócić się do tej właśnie nauki lokalnej. Bez znajomości sił i bogactw otaczającej nas bezpośrednio martwej i żywej przyrody, każde dążenie do postępu, do udoskonalenia w przemyśle, handlu, rolnictwie, będzie szukaniem poomacku drogi śród ciemności. Zrozumiały to dobrze narody, prodzające nam dzisiaj w oświacie — każda piędź ich ziemi jest im ze wszystkich względów znana. Czuł naglącą potrzebę badań fizyograficznych nasz wielki obywatel, Staszyc, kiedy w słowach pełnych podniosłego zapału, wzywał uczącą się młodzież: „połóżcie na tem wszystkiem, cokolwiek ziemia waszych ojców w najwyższych górach, w najgłębszych wewnętrza zakopach i w wodach i w powietrzu takiego i użytecznego zawiera, połóżcie mówię na tem wszystkiem pracy, dowcipu umiejętności wynalazku pierwsze imię polaka."

Biorąc za punkt wyjścia przytoczone powyżej myśli, podjęto wydawnictwo, którego treści i szczegółowej oceny nie możemy tu przytaczać. Ograniczymy się więc jedynie wzmianką, że wszystkie działy umiejętności przyrodniczej są w *Pamiętniku* uwzględnione: Meteorologia jest reprezentowaną przez prace p. Kowalczyka i Dr. Jędrzejewicza, który stanowi wyjątkowy w nas przykład człowieka zajmującego się nauką dla niej samej. Dr. Jędrzejewicz urządził sobie w Płońsku obserwatoryum astronomiczne i stacyę meteorologiczną, a chociaż oba te zakłady są bardzo jeszcze młode, niemniej przeto przynoszą już korzyści, a zebrany w nich materyał naukowy wchodzi, jako cenna wskazówka, do szczupłego zasobu wiadomości przyrodniczych, jakie o naszym kraju posiadamy.

Stosunki hydrograficzne Polski są uwzględnione w pracach pp. Słowikowskiego (Stan wody w Wiśle), Dziewulskiego (Jeziora Tatrzańskie i Rypińskie), Choroszewskiego (Osuszanie błot Pińskich), i Łuniewskiego.

Geologię reprezentują niewydane dotąd prace Puscha, oraz artykuły Trejdosiewicza i Kontkiewicza.

Fauna i Flora krajowa jest bodaj czy nie najobszerniej traktowaną — w pięknych i źródłowych pracach Wrześniowskiego, Ślósarskiego, Sznabla, Łapczyńskiego, Karo, Filipowicza, Wałeckiego i Nusbauma.

Co się tyczy antropologii — to z tego działu mamy w *Pamiętniku* prace: Dudrewicza, Karłowicza, Glogiera i Tymienieckiego.

Jeżeli teraz dodamy do tego wszystkiego, że bogata treść *Pamiętnika* jest objaśniona przepysznemi rysunkami i chromolitografiami, jeżeli weźmiemy przytem pod uwagę bardzo niską, w stosunku do rozmiaru i wewnętrznej wartości, cenę dzieła (rs. 5.), to nikt nie powinien się dziwić napotykanym tu i owdzie zachętom do nabywania tej książki. Powinna się ona zdaniem naszem znaleść w ręku każdego, dbałego o rozwój naukowy gospodarza i przemysłowca.

Lecz nie trzeba przytem ani na chwilę zapominać, że przyrodniczo-naukowy materyał takiego kraju, jak Polska, nie da się wyczerpać w jednej księdze *Pamiętnika*; to też pragnąć należy, aby ten tom, nie był ostatnim; aby zaś nim nie był, konieczny jest współudział jak najszerszego grona publiczności — zarówno w nabywaniu pierwszego tomu, jak i w mających się niebawem urządzić na ten cel odczytach przyrodniczych, o których we właściwym czasie przypomnimy naszym czytelnikom.

TEATR.

Rozbitki, komedya w 4-ch aktach Józefa Blizińskiego, przedstawiona przez towarzystwo p. Doroszyńskiego w Belle-vue. — *Rozwiedźmy się* (Divorçons) komedya w 3-ch aktach Wiktoryna Sardou, przedstawiona przez towarzystwo p. Puchniewskiego w teatrze „Alhambra."

„Poczciwy, kochany" Bliziński zawiódł oczekiwania wielu jego wielbicieli. On, który stworzył tyle postaci „serdecznych," sympatycznych, teraz jakby na złość przedstawił galeryę głupców i nikczemników. Takiego występku darować niepodobna, bo któżby u nas przebaczył ludziom mówiącym prawdę gorzką bez ceremonii, nieowiniętą bodaj w jedwabne słówka etykiety! Lubimy, aby nas głaskano, a tu Bliziński pokazał pazury i zaczął drapać niemiłosiernie. Dostało się przedewszystkiem zrujnowanym półpankom, dostało się także i mieszczaństwu, które pnie się na pańskie spróchniałe progi, chcąc świeżo zdobyty pieniądz stemplem arystokratycznym naznaczyć. Autor nieoszczędzał jednych i drugich, i dla tego też nowy jego utwór, pomimo pierwszorzędnych zalet, nie znalazł zbyt

żywego oddźwięku w umysłach słuchaczy; gdyż przeciwstawił się jaskrawo tradycyi panegiryzmu, która dotąd niezamarła w literaturze i obyczajach naszych. Głaskanie próżności, schlebianie namiętnostkom, fałszywe idealizowanie wszystkich stron życia było i jest u nas ze stanowiska praktycznego zawsze najlepszym interesem w literaturze, opłacającym się powodzeniem i stugębną chwałą. Usposobienie takie oddawna stanowi jednę z naszych przywar narodowych, którą spotęgowały nieprzyjazne okoliczności, dla tego też na prawdziwe uznanie zasługują ludzie, mający odwagę iść wbrew tym nałogom, zwracać uwagę ogółu na słabości i błędy społeczne, potęgować jego zmysł krytyczny. Ostatnią sztuką Bliziński zapisał się w poczet takich odważnych satyryków, wziął do ręki pędzel, aby namalować obraz dosadny, oświecony błyskami gryzącej ironii. Wierny swym realistycznym godłom, wystąpił tu jako obserwator i malarz pewnej grupy objawów społecznego rozkładu, nie moralizował i nie potępiał, ale w jądrze przedstawionych figur i sytuacyi umieścił samą satyrę. Oś intrygowa sztuki jest tu bardzo prosta, nieobfitująca w powikłania, gdyż Bliziński cały efekt oparł wyłącznie na obrazowaniu charakterów. Widzimy tu gniazdo bliskich ruiny panków, przeżuwających resztki dawnej świetności. Podług świetnego wyrażenia poety „z dumą hidalgów noszą oni łachmany" przez które prześwieca przeraźliwa nędza moralna. Zmarnowawszy mienie lekkomyślnie na podtrzymanie splendorów i niedorzeczne fantazye, dmą się, puszą, wysławiając honor, kłócą się z elementarną uczciwością. Takim jest hr. Kotwicz-Dohlberg Czarnoskalski, zrujnowany panek, a nikczemny sługus, wycieracz cudzych kątów i eksploatator, który jednak głośno rozprawia o swem pokrewieństwie z królewskiemi rodzinami; takim jest szambelanic Czarnoskalski, obdłużony po uszy posiadacz wielkiego majątku, wydający córkę za zbogaconego przypadkiem łobuza warszawskiego, Strasza, od którego wyciąga pieniędzy ile tylko może.

W akcie pierwszym i drugim forsowne łapanie tego pożądanego konkurenta, którego mocno pragnie panna hrabianka, kochająca wprawdzie swego kuzyna, Władysława, ale gotowa każdej chwili zaprzedać się na drodze matrymonialnej zbogaconemu młokosowi, w każdym wyrazie trąci knajpą. W sprawie tej faktoruje Kotwicz i Łechcińska, szczwana i kuta rezydentka, jedyna do intryżek i szacherek. Strasz, znęcony koligacyami, szybko staje się ofiarą polowania na zięcia. Rzucając zasłonę na przebieg konkurów, autor ukazuje nam przygotowania do ślubu, przed którym Strasz się spija, a jego przyszła oświadcza dawnemu kochankowi, że o nim będzie pamiętać. Nagły skandal, schowany przez autora za kulisy, rozrywa tę sytuacyę, a pan młody przed pojedynkiem ucieka do Paryża. Ostatecznie szambelanic łata swą egzystencyę, żeniąc syna z córką zbogaconego kupca D., a Kotwicz czując, że mu się grunt z pod nóg usuwa, pomimo swych koligacyj z królami i książętami, przypuszcza szturm do pani Łechcińskiej, która właśnie otrzymała zapis po dawnym kochanku i gorąco pragnie wątpliwą przeszłość pokryć hrabiowską koroną. Gdy *rozbitkowie* chwytają się ostatnich środków ratunku, aby tylko ciągnąć dalej egzystencyę pasorzytów, młode pokolenie tymczasem porzucając tradycyę próżniactwa i świecenia szychem, idzie drogami uczciwej a sumiennej pracy. Dodatnie postacie sztuki nie stwierdzają bynajmniej znanego przysłowia „o jabłku i jabłoni;" ale okazują widoczny wpływ uszlachetnienia, które jest owocem trudnej szkoły niedoli i pracy, natchnionej myślą odrodzenia. Synowie wyrzekają się czczej pościwości ojców, niechcą tuczyć się łatwo zdobytym groszem, ale pragną wywalczyć niezależność przez własną pracę, która jest trwalszą podstawą bytu, aniżeli kastowe mamidła. Pod względem artystycznym ten żywioł dodatni blednie i niknie wobec dosadności rysunku typów ujemnych, który jest prawdziwie mistrzowski. Są to postacie wydarte z życia, drgające prawdą w każdem słowie, pomyślane głęboko, przedstawione wielostronnie, czasami oświecone po-rembrandtowsku nagłym kontrastem. Wyjąwszy dwóch bladawych amantów, każda z tych postaci jest zupełnie nową, a chociaż niektóre należą do kategoryi typów znanych, jednakże autor w szczegółowych rysach rozwinął bogactwo. świeżość obserwacyi, poczerpniętej z pierwszej ręki. Począwszy od pysznej, pełnej humoru charakterystyki śmiesznostek Dziendzieszyńskiego, mieszczucha, który pisze się do arystokracyi, aż do obrazu wyrafinowanej podłości Kotwicza, maskowanej resztkami spróchniałego honoru, każda postać utrzymana konsekwentnie we właściwym tonie, ukazana z wielu stron, jednem słowem upostaciowana z pierwszorzędną siłą realistycznego talentu. Pod względem budowy i prowadzenia scenicznego, komedya trochę szwankuje, jest czasem przewlekłą, grzeszy niewyzyskaniem takich scen efektownych, jak np. zerwanie ślubu, a w ostatnim jej akcie czuć się daje pewna niezręczność w rozplątaniu sytuacyi. Chętnie jednak darujemy autorowi zarzuty formalne, chętnie skwitujemy go ze wszystkich sztuczek i efekcików scenicznych, gdyż jego komedya jest zbiorem figur żywych, przenosi do sztuki doskonale odwzorowaną rzeczywistość, należy do utworów, które nie mają może błyskotliwego efektu, nie są obrachowane na powodzenie chwilowe, ale zostaną na dłużej w literaturze, jako żywe dokumenta pewnych rysów obyczajowych naszej epoki. Pod względem zaś społecznym całość obrazu, jakkolwiek ciemna, pesymistyczna, przeniknięta jest trzeźwym duchem protestu, przeciwko pretensyom społecznego próchna, które nowo wykluci socyologowie konserwatywni chcą powołać do roli przewodniego światła w narodzie, gdy tymczasem autor ukazuje na faktach, że zgnilizna i upadek może tylko dokoła siebie zaszczepić niezdrowe zasady rozkładu, widoczne w postaciach, które się bliżej z nią stykają. Komedya ta wogóle nadto jest doniosłej wartości, aby teatr prowincyonalny mógł sprostać jej trudnościom, chociaż przyznać należy, że w miarę sił towarzystwa p. Doroszyńskiego, wykonaną została starannie. W grze p. Żelazowskiego, artysty krakowskiego, który odtworzył rolę Strasza, mogliśmy ocenić talent prawdziwy—niezwykłej miary, stawiający go w rzędzie wybitnych przedstawicieli naszej sztuki aktorskiej.

Z pomiędzy sztuk granych ostatniemi czasy w letnich teatrach wyróżniała się niezwykłem powodzeniem trzyaktowa komedya Sardou, *Rozwiedźmy się* (Divorçons), która jest nowym dowodem, co może zrobić talent, spryt francuski z przedmiotu na pozór wyssanego do ostateczności przez setki powieściopisarzy i dramaturgów. Mąż, żona i kochanek — koło tych trzech sakramentalnych figur obraca się, a raczej tańczy żwawo akcya sztuki, prowadzonej z niesłychanym dowcipem i elegancyą. Sytuacya zapowiada się dramatycznie, mąż przebąkuje coś o zabiciu nikczemnika, ale nagle porzuca te tragiczne pozy. Tylu dramaturgów wysiało się na rozwiązanie tej sytuacyi, za pomocą łez lub patosu, napsuło dużo prochu, niezałowało nawet trupów, jęku i płaczu! Sardou pierwszy rozwiązał ją dowcipnie. Jego mąż obrażony nie myśli być krwiożerczym lekarzem swego honoru, ale poprostu chce zdyskredytować i ośmieszyć kochanka. Rzuca frazes i pistolet, a walczy facecyą. Udaje tedy, że romansik żony go nie martwi, rozgłasza fałszywą wieść o zawotowaniu prawa rozwodowego w parlamencie, zgadza się na rozłączenie, ułatwia niby kochankom przyszłe małżeństwo, okazuje się szlachetnym, bezinteresownym, i paraliżuje romansik, wszczęty przez próżniaczą wyobraźnię, odzierając go z całego uroku tajemniczości. Żona widzi, że kochanek w nowej sytuacyi wygląda coraz bardziej głupio, że mąż staje się zajmującym, dowcipnym i energicznym; opuszcza ją więc stopniowo gust do zakazanych owoców. Cała awantura kończy się na wesołym obiadku męża i żony, zjedzonym w restauracyi tajemnie przed kochankiem, który za cały owoc zabiegów otrzymał policzek, wymierzony energiczną rączką swego ideału. Komedya płynie z szalonym, brylantowym humorem, kipi dowcipem, lśni elegancyą i zręcznością. Po przepysznie prowadzonych dwóch aktach zakończenie trywialne, farsowe razi widza, jak dźwięk kawiarnianej piosenki po artystycznym śpiewie. Z pod osłony żartu wygląda tu konserwatyzm, niechęć Sardou dla rozwodu, który jednak ubocznie tylko przedrwiwa, pamiętając głównie o tem, aby spełnić swe zadanie wytwornego bawiciela. Tłomacz dokonał na tej wesołej i wytwornej sztuce operacyi, usuwając jej swawolne koncepta, przez co kontrast pomiędzy aktem ostatnim a pierwszymi stał się tym jaskrawszy, komedya straciła na pikanteryi, ale zachowała całą swą werwę i błyskotliwość, którą pani Sochaczewska i Siedlecki odtworzyli z mistrzowstem i gustem, niewidzianym dotąd na prowincyonalnych scenach.

S. K.

LIBERUM VETO.

Ulgi w cenzurze zagranicznej. — Cenzura prywatna. — Spowiedź p. Izydora Oracza i tortury *Króla reporterów*. Litania męczenników w *Kuryerze Warszawskim*. — Kto kłamie? — Ledóchowski, jako literat. — Młoda prasa.— Dozór nad robotnikami. — Dziura w dziurze. — Ofiary dla Jana Bożego i Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci, — Paprocki i Mierzwiński.

Do błogosławionych zamiarów reformacyjnych, z których jeden jest przedmiotem na wstępie pomieszczonego artykułu, tydzień ubiegły dosypał dwa: zmianę w ustawie cenzury zagranicznej i projekt nadzoru nad robotnikami. Co do pierwszej, poręcza za nią *Golos*, niech więc on nam tę miłą nowinę opowie. „Niedawno *Agence Russe* podała wiadomość o nowem rozporządzeniu ministra spraw wewnętrznych w wydziale cenzury, które otworzyło wstęp do Rosyi znacznej ilości wzbronionych dotąd książek i dzienników. Z zaczerpniętych przez nas objaśnień okazuje się, że pod koniec maja wydano kilka rozporządzeń cenzuralnych, które znacznie ułatwiają otrzymywanie książek i dzienników zagranicznych. Prawo przepuszczania wydawnictw zakazanych nadano obecnie prezesom komitetów cenzury, podczas gdy dotąd odnośne prośby osób prywatnych przedstawiano do uznania ministra spraw wewnętrznych, *resp.* naczelnika głównego zarządu prasy. Cenzura zagraniczna otrzymała również prawo wydawania bez uprzedniego przeglądania takich czasopism, które nie mają obszernego koła czytelników i które abonowane są przez osoby prywatne, nie zaś instytucye społeczne!" Jest to jedno z tych rozporządzeń, które się już dawno państwu należą. Dotychczasowa zasada cenzury zagranicznej nie uznawała koniecznej różnicy między naukowem korzystaniem z pism i książek obcych a rozpowszechnianiem ich w celach społecznych lub politycznych. Przyzna każdy, że co innego jest sprowadzić sobie dzieła Lassala dla badań teoretycznych, a co innego dla

użytku propagandy. Skutkiem utożsamiania obu tych odmiennych celów, ludzie nauki pozbawiani byli często nieodzownych dzieł pomocniczych, a przynajmniej nie mogli ich otrzymywać szybko. Zanim książka jakaś przeszła cenzurę zagraniczną, zanim dostała się do rąk nabywcy, upłynęło czasu bardzo wiele, nie mówiąc o tem, że nieraz wstęp dla niej bywał na zawsze zamknięty. Tożsamo działo się z czasopismami. Gazety zagraniczne, posiadające u nas wolne wejście. są bardzo podejrzanemi a nawet wprost niebezpiecznemi pomocnicami naszej prasy, Dokąd w polityce zagranicznej może zaprowadzić *Nordd. Allgm. Zeitng.* lub *Schlesische Zeitung* — każdemu wiadomo. Ministeryum spraw wewnętrznych udzielało redakcyom dyspensy na otrzymywanie innych gazet bez cenzury, ustąpienie wszakże tego prawa prezesom komitetów jest znakomitą ulgą. Bo ostatecznie—Petersburg zawsze daleko. Nie znamy urzędowego tekstu nowego rozporządzenia, zdaje się jednak, że ono przeniknięte jest tą maksymą, którą kiedyś podobno wyraził namiestnik Berg w słowach: „mądrzy wszystko czytać mogą, tylko głupim trzeba zabraniać.“ Państwu nie przybędzie ani jeden niebezpieczny obywatel, jeśli mądrzy czytywać będą swobodnie dzieła i pisma zagraniczne. Dojrzały mózg nie jest prochem, któryby wybuchał za lada iskrą, jaka weń wpadnie. Jeżeli zaś idzie o moich ziomków, nie znam takiej książki, któraby nawet nierozumnych między nimi wzburzyć mogła. Ciastem, powolnem zupełnie ciastem wszyscy jesteśmy, z którego żaden zagraniczny płatnerz miecza nie wykuje. Całem usiłowaniem polskich kuropatw jest to tylko, ażeby się utrzymać w stadzie i nie dać się ani rozgonić wyżłom, ani rozbić myśliwym.

Cenzurę urzędową z książek zagranicznych minister zdjął, ale kto z nas zdejmie daleko uciążliwszą, prywatną kontrolę prawomyślności, jednomyślności i nietykalności pewnych bractw literackich? Niedawno wspominaliśmy w *Prawdzie* o tajemnej operacyi, jakiej niewinnie dokonano na *Królu reporterów*, w którym dostrzeżono podobiznę kilku oficyalistów redakcyjnych. Skutkiem tego autor owej operetki przesyła nam szczegółowy opis tortur, jakim go poddano, z którego przekazuję nieśmiertelności ważniejsze ustępy:

„W miesiącu listopadzie — powiada — roku przeszłego, napisałem: *Króla reporterów*, i szczycąc się znajomością jednego z pierwszorzędnych autorów dramatycznych, dałem mu do przeczytania rękopis, zapytując o zdanie. W kilka dni odpowiedział mi:

— Wiele rzeczy gorszych grywają, jednak wątpię, czy *Króla reporterów* podejmie się grać jaki teatr.

— Dla czego? rzekłem, czy dla tego, że autor jest nieznany?

— Nie, ponieważ dotyka prasę.

— Przecież w Warszawie niema reporterów.

— Bądź co bądź, radzę panu wystąpić z inną sztuką na pierwszy ogień!

Poprosiłem o poznajomienie mnie z kompozytorem muzycznym, któryby napisał muzykę do mojej operetki. Poradzono mi pana X., profesora konserwatoryum, który z początku okazał gotowość spełnienia mego życzenia, po kilku jednak tygodniach układ nasz nie mógł przyjść do skutku, gdyż p. X. oświadczył, iż niema pewności, ażeby sztuka moja była kiedykolwiek grana, chociaż libretto jest dobre. Udałem się do p. Sonnenfelda, który obiecał mi za miesiąc skończyć muzykę. Zgłosiłem się za miesiąc, i ze zdziwieniem zobaczyłem zaledwie cztery numery do śpiewu podłożone, a następnie zaambarasowanego p. S., który mi oświadczył, że kończyć muzyki nie może!...

— Dla czego? zapytałem, czy z powodu anti-germańskiej tendencyi sztuki?

— O, nie, ja od lat 20-tu mieszkam w Warszawie i żona moja jest polką, ale treść sztuki pańskiej jest paszkwilem na prasę warszawską.

— W czem pan to widzisz?

— Tak mi mówiła *pewna* osoba, która się lepiej zna na tem, niż ja.

Odparłem wręcz, że poważna nasza prasa ubocznymi względami rządzić się nie będzie. Uspokojony p. S. wkrótce ukończył muzykę, uzyskałem pozwolenie urzędowej cenzury do przedstawienia sztuki — szło więc tylko o scenę. Zwróciłem się do dyrektora teatru ogródkowego p. X. Ten przeczytał utwór. i ze słowami: „Sztuka jest dobra, ale gdybym przedstawił, prasa mnie zakrakała!“—zwrócił mi rękopis. Inny dyrektor radził mi poznajomić się z prasą (zapewne z członkami wpływowymi cenzury prywatno-podziemnej), a zarazem zgodzić się na wskazane przez nią zmiany. Nie przystałem na to i posłałem rękopism p. Puchniewskiemu, dyrektorowi sceny Alhambry, który niewidząc nic zdrożnego w sztuce, oświadczył gotowość jej wystawienia. Role zostały rozdane, sztuka wyuczona i dzień przedstawienia naznaczony. Przybyłem na główną próbę do Alhambry, i... dowiedziałem się, że ktoś zażądał ścisłej korekty niektórych scen. Wybrałem się przeto do owych panów, których nazwiska wymieniono, lecz ci wyparli się wszystkiego. Sztuka była sześć razy z rzędu przedstawioną i dobrze przez publiczność przyjętą, odrazu jednak zaniechano dalszych przedstawień... Osoby kompetentne poinformowały mnie, że stało się to mocą uchwały „rady tajemnej.“ Oto jest cały stan rzeczy, skreślony otwarcie... Obecnie zaś nic mi więcej nie pozostaje, jak oddać całą tę sprawę pod sąd i do uznania Szanownego Pana Redaktora *Prawdy*.

Izydor Oracz.“

A to po co ta instancya? Bez pomocy redaktora *Prawdy* sprawa ta jest osądzoną, a zgodny w niej wyrok wydadzą wszyscy, którzy w prywatnych kuźniach kaganców dla literatury nie kują, i którzy poddają się jednej tylko cenzurze — urzędowej.

Poprzestając na tej uwadze i nie rozsnuwam jej dalej z obawy, ażebym nie pomnożył męczenników starej prasy, których litanię ogłosił uroczyście *Kuryer Warszawski*. Pismo to, widocznie bardzo lekko znajome z cnotą wyrażoną w tytule naszego tygodnika, powiada: „Dzisiejsza *Prawda* p. Świętochowskiego powiedziała *nieprawdę*, twierdząc, że „młoda prasa“ napadała *tylko* na „Szymanowskiego, Korotyńskiego, Lewestama i Szczerbowicza“ a przytem szanowała „Jenikego.“ Napadała jeszcze lub dotąd napada następujące osoby.“ Tu idzie jadłospis rekinów dziennikarskich, zawierający 20 ofiar „młodej prasy.“ Replika ta stawia pytanie; kto kłamie: *Prawda* p. Świętochowskiego, czy *Kuryer Warszawski* p. Szymanowskiego (z serwitutami)? *Prawda* powiedziała tak: „nie ulega wątpliwości, że krwiożerstwo w postępowym obozie objawiało się tylko względem *kilku* redaktorów i *kilkunastu* literatów;“ dalej: „pp. Szymanowski, Lewestam, Korotyński, Szczerbowicz-Wieczor *i inni*, *głównie* przez młodą prasę ostrzeliwani.“ Ponieważ *kilku* dodanych do *kilkunastu* może stanowić dwudziestu; ponieważ przy nazwiskach wspomnianych nie dodano wcale *tylko*, ale owszem: *i inni*, zdaje mi się zatem, że *Kuryer Warszawski*, p. W. Szymanowskiego (z serwitutami), pomimo kropek, kresek, wykrzykników, *Hundtrabstylu* nie zdał egzaminu z *prawdy*, o który się tak chwalebnie pokusił. W jego liście męczenników znajdujemy nazwiska takich, którzy (jak np. Kalinka) nie byli nigdy przedmiotem „napaści,“ lecz krytyki — co dla *Kuryera* po wystąpieniu p. Goraja bardzo słusznie jest jednoznacznem. Na jakiej zasadzie kardynał Ledóchowski figuruje między poległymi w szeregach starej prasy zrozumieć nie mogę. Pan ten, jako zapalony prusak, wypierający się polskości przed kozą, a jako poborca polskiego świętopietrza, wypierający się prusactwa po kozie, ulegał częstym naganom, ale nie w charakterze literata, tylko w charakterze narodowego odstępcy, który deputacyi poznańskiej śmiał powiedzieć, że zna jedynie katolików, nie zaś polaków. Ze „starą prasą“ w Warszawie ma on chyba tyle wspólnego, że w pewnych jej organach za te zasługi cieszy się nieprzerwanem uznaniem. Wreszcie dla uniknięcia pomyłek, mam honor objaśnić, że pod imieniem „młodej prasy“ rozumiem kilka pism działających pokrewnie od roku mniej więcej 1870 do 1875, po którym to czasie zniknął między niemi dawny związek i każde rozpoczęło swój odrębny rachunek. „Oszczerstwo“ więc, rzucone na Jenikego, o którem zresztą nie wiem, mogło być czynem samodzielnym jednego pisma i do kroniki „młodej prasy“ nie należy. Kronika ta jest od lat kilku zamknięta.

Mamże po tem wyjaśnieniu zawołać również: Oj, ta *prawda*... w *Kuryerze Warszawskim!*

W zeszłym tygodniu szpital Jana Bożego i Instytut moralnie zaniedbanych dzieci obdarzono hojnymi darami, to znaczy, że było wiele eleganckich kradzieży, zręcznych oszustw i obelg. Te artykuły naszego życia społecznego dają obu wspomnianym zakładom znaczny dochód. Gdy „prywatny obrońca“ okpi swego klienta, Jan Boży może liczyć na niezawodny zarobek. Jedna wszakże operacya dokonała się przed paru dniami bez żadnego wykupu. Jakiś „obrońca prywatny“ czmychnął z kilkunastoma tysiącami rubli, a poszkodowany nie uczcił tej uroczystości nawet groszem dla szpitala Jana Bożego. A przecież ofiara taka się należała. Wogóle u nas panuje dziwna zasada w przeznaczaniu podobnych datków. Gdy ktoś dozna obrazy, składa na intencyę gbura jałmużnę do puszki szpitala obłąkanych; gdy go okradnie „obrońca prywatny“ — obdarowywa Instytut moralnie zaniedbanych dzieci. Dlaczego? Czyż Jan Boży nie jest patronem tych, którzy powierzają znaczne sumy lotnym „obrońcom prywatnym?“

Do tej chwili nie mogę uwiadomić moich czytelników, czy zmarły żebrak Paprocki był bogatym i prenumerował *Przegląd Katolicki*, czy też nie; oraz czy Mierzwiński przyjedzie do Warszawy, czy nam figę pokaże. Polemika bowiem pism naszych w obu tych przedmiotach jest jeszcze niezamknięta.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Mamy do zanotowania kilka wypadków, które wywrą niezawodnie wpływ doniosły na różne okolice kraju. Śnijmy błogo: za chwilę do kieszeni naszej popłyną skarby, a w głowach jasność południowa zabłyśnie: pod Włocławkiem odkryto pokłady węgla, w gubernii kieleckiej (we wsi Chajdaszku) — dwa źródła mineralne, z wodą pokrewną buskiej; w Częstochowie progimnazyum męskie zostało przemianowane na gimnazyum, a niezadługo ma być podobną zmianą uszczęśliwiona młodzież niewieścia z okolic Piotrkowa. Wszystkie te jednak zdarzenia bledną wobec faktu, którego zapowiedź opromienia duszę mieszkańca prowincyi tak niezwykłą radością, że mimowoli wydaje okrzyk, przypominający słynne hasło Kolumbowej drużyny: „ziemia!“ „Otóż nareszcie mieć będziemy kolej żelazną!“ — woła w 209 numerze *Nowin* korespondent z Tomaszowa Rawskiego, — a cała ludność, osiadła na pro-

jektowanych torach drogi iwangrodzko-dąbrowskiej, wtóruje mu ochoczo. Wypada nam więc podzielić to ogólne zadowolenie, gdy pielęgnowany oddawna pomysł uzyskał już nakoniec sankcyę rządu; chociaż warunki, pod jakimi otrzymano koncesyę, nie wróżą bliskiego urzeczywistnienia, i nasuwają obawę o materyalny los przedsięwzięcia. Ale to nie powinno nas krępować: rozchmurzmy czoła, i przebijając chińskie mury zatęchłej prowincyi, otwierajmy co żywo nowe ujście postępowi. Precz z powątpiewaniem:

„Nadzieja lot ma niczem niewstrzymany!
Król przez nią Bogiem, a królem poddany!"

Prowincya otrzyma tedy nowe okno z widokiem na Warszawę i na Europę. Gdyby życzenia zdały się na co, nieomieszkałbym wygłosić pobożnej modlitwy, aby nasze miasteczka i osady, przekształcając swą postać na wzór stolicy, nie zaczynały od kopiowania jej... kloak. Dotąd bowiem nie inaczej się dzieje. Drugorzędne i dalsze gniazda przejmują naprzód ujemne strony życia od swego modelu. Nasi kupcy i przemysłowcy prowincyonalni sprowadzają sobie przedewszystkiem z Warszawy przepis na wyzyskiwanie, i zaszczepiają *sztucznie* drożyznę... Jest ona dla partykularzy pierwszym owocem rzekomej cywilizacyi. Drugim bywa zazwyczaj nierząd pod maską sztuki. Miasteczko, przygotowujące się do przejścia na wyższy szczebel w hierarchii siedlisk społecznych, dziwny przedstawia widok: tradycyjne formy wraz z pleśnią odwiecznych przesądów panują, jak za dobrych czasów, a na ich ciele skamieniałem osiada piana fali cywilizacyjnej, bijącej od ogniska ruchu. W takim np. Tomaszowie Rawskim, który liczy dzisiaj kilkanaście tysięcy ludności, całe biuro magistratu stanowi jeszcze po dawnemu burmistrz z sekretarzem, interesa pocztowe prowadzi jeden urzędnik z miesięczną płacą 18 rs., sądu na miejscu niema, stacya telegraficzna źle funkcyonuje (patrz *Nowiny*, Nr. 209); ale jest już drożyzna warszawska i *Caffé chantant* z przedstawieniami w rodzaju eldoradowych, któremi podobno nie gardzi młodzież miejscowa. Coś podobnego powiedzieć by można i o staro-żytnym Włocławku. Ten gród piastowski posiada, jak piszą, własny organ w postaci peryodycznie wydawanych ogłoszeń; kosztuje od czasu do czasu delicyj cyrku z podwójną(sic!) opłatą, i rozkoszy teatru wędrownego z przeważnemi offenbachiadami; szczyci się nakoniec od lat sześciu dzielną strażą ogniową, która w sposób godny naśladowania kojarzy spoczywającą w swej zasadzie ideę postępu — z należnym dla tradycyi szacunkiem, bo rocznicę swego istnienia uświęca huczną w stylu Granowskiego [1]) biesiadą... Ale... sza! Włocławek z wielu względów podobny do naszego miasta, wyprzedza je na drodze filantropii, ujawnionej w łonie obywateli wyznania mojżeszowego (patrz *Nowiny*, Nr. 206), którzy tam są ludźmi dość wykształconymi i ani jednego (?) między sobą nie liczą chałaciarza. No, cóż, czytelnicy, czy nie dziwne o grodzie piastowskim donoszą nam wieści? W Warszawie tylu jeszcze „chałaciarzy" — a we Włocławku (na kilka tysięcy żydów) — ani jednego. Kto niewierzy, niech się przekona...

Zejdźmy o parę stopni niżej. Grodzisk, osada w powiecie błońskim chce mieć swą straż ogniową, a tu korespondenci i inni ludzie rozumni jasno, jak na dłoni, chcą przekonać obywateli, że się porywają zmotyką na słońce, bo więcej nad 20 ludzi dostawić na obronę własnego mienia przed żywiołem niszczącym nie mogą. Wyznajemy, że dowodzenie opozycyi jest dla nas całkiem niezrozumiałe. Niech się straż ogniowa zorganizuje w takim komplecie, w jakim się zorganizować może; *niech wezwie do pomocy gminy sąsiednie, niechaj się z niemi federacyjnie zsolidaryzuje;* niechaj nakoniec, jeśli inaczej być nie może, zaciąga pod swe kierownictwo, na przypadek pożaru — odpowiednią liczbę mieszkańców do straży nienależących.. Lepiej tak radzić zaprawdę, niż ręce na krzyż założywszy, czekać cudu...

A czy myślicie, że cudów już niema? Są, jak mi Bóg miły. Oto w pobliżu Kielc, we wsi Mochowicach, w chacie włościanina ukazywała się codziennie około południa, na obrazie, ponad głową matki Chrystusa, płonąca światłem jaskrawym aureola... Szkoda tylko, że znikła po zasłonięciu okien i zatkaniu szczelin (winien temu miejscowy pleban-bezbożnik...). Inny przykład. O dwie mile od Sandomierza (proszę pamiętać, że Sandomierz, podobnie jak i Kielce, jest rezydencyą biskupa) mieszka i działa cudowny lekarz, Józiek ośmnastoletni, który przy pomocy kilku oryginalnych recept (jak, mieszaniny piwa z okowitą, pieprzem, rumiankiem i t. p., oraz praktykowanego u ludu, zakopywania po pas w ziemię) przyprowadza do zdrowia (?) ludzi najcięższą dotkniętych chorobą. Spieszmy do niego — może nas wyleczy z ospalstwa i hipokryzyi...

A—m.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 sierpnia

Z wypadków politycznych ubiegłego tygodnia, prócz dorocznego zjazdu cesarzów — austryackiego i niemieckiego w Gasteinie, któremu doniosłego znaczenia nikt już dziś nie przypisuje, i który stał się zwykłym aktem międzymonarchowej afektacyi i czulenia się, zanotować winniśmy uchwalenie bilu rolnego, irlandzkiego przez izbę niższą angielską. Prawo Gladstona jest jednym z najważniejszych aktów prawodawczych naszego wieku, ale od urodzenia swego skazane jest z góry na zagładę. Konserwatyzm angielski nie pozwoli członkom parlamentu jej królewskiej mości zdobyć się na krok stanowczy. Potrzebę radykalnej zmiany w stosunkach rolnych Irlandyi czuli oni bardzo dobrze, wszelako na krok decydujący zabrakło im odwagi. Uchwalony bil Gladstona jest półśrodkiem tylko, a jako taki nietylko nie zażegna niebezpieczeństwa, ale owszem je przyśpieszy. Nie uwzględnia on nawet w całości owych skromnych, najumiarkowańszych żądań irlandczyków, znanych pod nazwą trzech f, i dwom tylko z nich przyznaje siłę. Czynsz dzierżawny ma odtąd być „sprawiedliwy," a spory o dzierżawę z lordami rozstrzygać będą sądy. Czy tego rodzaju rozwiązanie zadowoli irlandczyków — wątpić należy; już po dojściu do nas wiadomości o zatwierdzeniu bilu Gladstona — telegram doniósł o świeżem zabójstwie agrarnem, dokonanem na osobie jednego z lordów-właścicieli, a fakt ten wskazuje, iż nowe prawo nawet w formie, uchwalonej przez Izbę niższą, nie jest w stanie uspokoić wzburzonych, bo głodnych żywiołów w Irlandyi. A pomyślmy, że bil ten przejdzie jeszcze przez Izbę lordów i ulegnie w niej najrozmaitszym zmianom i modyfikacyom. Trudno żądać od lordów-posiadaczów, aby sami podpisali prawo, mające ukrócić ich samowolę. Radykalnym, ale jedynie skutecznym środkiem przywrócenia równowagi w nieszczęśliwym kraju jest uwłaszczenie chłopów irlandzkich, za stosownem nagrodzeniem wywłaszczonych właścicieli. Zaczynają to pojmować nawet ci, którzy z natury swoich zajęć i studyów nie bardzo są skłonni do gwałtownych środków i reform. Ekonomista, Leroy-Beaulieu w ostatnim zeszycie *Revue de deux mondes*, ku nie małemu zdziwieniu naszemu, w duchu tym wystąpił i energicznemi słowy poparł żądania wydziedziczonych włościan irlandzkich.

Na Europę puszczono znowu, jak się wyrażają dzienniki niemieckie, *eine stinkende Bombe*. Jest nią wiadomość, rozgłoszona przez gadzinowy organ Pindtera, o listach z pogróżkami, wystosowanemi do „żelaznego księcia." Bismarck ma zginąć z ręki spiskowca, a jeśli wymierzony przez niego cios chybi — ponowi go inny ...aż do skutku. Spiskowców ma być dziesięciu. Spisek miał uknuć... nieboszczyk Szyler (patrz „Fiesco" — sprzysiężenie w Genui) a pieniędzy dostarcza fundusz gadzinowy. Manewr przedwyborczy nie udał się, i ośmieszył jedynie tych, którzy go wyzyskać chcieli.

We Włoszech rozpoczął się bardzo poważny ruch, wymierzony przeciwko tej twierdzy, która wznosi się niezdobyta dotąd na ziemi italskiej — przeciwko papiestwu. Idzie o zniesienie jego tak zwanych „praw gwarancyjnych," zapewniających Watykanowi jeszcze niepodległe stanowisko polityczne. Według ostatnich doniesień działalność żywiołów liberalnych rozwija się w tym kierunku z niezwykłą energią. Przygotowują one olbrzymi meeting narodowy, powołują wszystkie warstwy, niezadowolone z gospodarstwa księży, a całej tej robocie przewodniczą ofiary byłego państwa papieskiego. Nad sprawą tą zastanowimy się osobno, gdyż ona zasługuje na uważne rozpatrzenie.

J. S.

O PRAWDĘ.

Od jednego z lekarzów odbieramy kilka słów przeciw korespondencyi p. Juniusa, pomieszczonej w poprzednim numerze *Prawdy*. Po sprostowaniu omyłki korektorskiej, skutkiem której, zamiast *Hannemana* wydrukowano *Hammana*, autor zbijając twierdzenie korespondenta, jakoby homeopatya zdobywała coraz większe uznanie i powiada: „Medycyna pozbyła się już takich czczych i niedołężnych formułek jak: *similia similibus*, albo *contraria contraribus curantur*. Dziś lekarz stara się poznać istotę choroby i na nią działać, a gdzie tego nie może dokonać, usiłuje zwalczać najważniejsze objawy lub postawić organizm w takich warunkach, aby sprawy chorobowe najłatwiej i najkrócej przebiegały swą naturalną drogę. Dając wino i zimne kąpiele w chorobach gorączkowych, nie działa przecież w myśl Hannemana, boć ani wino ani zimna woda gorączki nie powoduje. Dając mleko, świeże powietrze i t. d. suchotnikom, zapewne także nie rządzi się zasadą *similia similibus*.

Najważniejsze wreszcie odkrycie w medycynie nowoczesnej — odkrycie, które w wielu razach zniżyło śmiertelność z 50% do 10% — polega na zastosowaniu środków, które niszcząc bakterye i inne mikroorganizmy, przerywają tem samem przebieg choroby. I tu więc kieruje lekarzem tylko dokładne poznanie istoty choroby, nie tak śmieszne zasady, jak: *similia similibus*, lub *contraria contraribus*.

Błędnem jest również, jakoby przed Ochorowiczem nikt nie stosował hypnotyzmu w terapii. Podobne próby robione już były przez Drosdoffa, Moczutkowskiego, Oksa i innych, i niedoprowadziły do żadnych rezultatów.

Wreszcie muszę zwrócić uwagę na niewłaściwy ton, w jakim podany został rezultat badań p. Ochorowicza. Badania te i teorye słyszałem i widziałem sam na

[1]) Patrz Pamiętniki Koźmiana, t. I.

zjeździe w Krakowie; prócz wysokiej zarozumiałości ze strony O., nie dały nam nic nowego. P. Ochorowicz rozprawia się z Heidenheinem, jak z pierwszym lepszym pismakiem, a jednak trzeba wczas wstać, aby zaprzeczyć tak sumiennemu i pierwszorzędnemu fizyologowi. Rozróżnienie, jakie p. O. wprowadza pomiędzy snem hypnotycznym a magnetycznem, niema mojem zdaniem żadnej racyonalnej podstawy. Mogę i ja się mylić, to jednak pewna, że nikt z grona lekarzy, słyszących objaśnienie O., nie podziela zdania p. Juniusa, aby ta kwestya już była rozwiązana.

Nakoniec pozwolę sobie jeszcze jednego dotknąć punktu. P. p. Donato i Ochorowicz pobudzili u nas całe legiony wielbicieli hypnotyzmu, którzy na wszystkie strony napadają na lekarzy, że się tą zagadką nie zajmują. Nie przeczę, że hypnotyzm, tak jak każdy inny fakt, badany być powinien; ale jego objawy tak usuwają się z pod wszelkiej kontroli i objaśnienia, tak mało dają zadowolnienia człowiekowi, przyzwyczajonemu do ścisłych badań, że nie dziwię się nikomu, kogo ta rzecz nie zajmuje i nie bawi. Jestto najłatwiejszy sposób zdobycia sobie rozgłosu, czy zaś dla nauki daje największe rezultaty, pozwalam sobie wątpić."

Opublikowaliśmy uwagi powyższe, chociaż one przesłane nam zostały prywatnie, dlatego, że nam w każdej kwestyi idzie o *prawdę*. Podzielając jednak dwa pierwsze zarzuty, nie możemy zgodzić się na trzeci, ażeby objawy hypnotyzmu „mało dawały zadowolenia przyzwyczajonemu do ścisłych badań." Objawy te, jak wszystkie inne, mogą być przedmiotem najściślejszego badania, jeżeli tylko zastosujemy do nich, ścisłą metodę. Nieujętość nie jest ich winą, ale winą sposobów ich poznawania. Skoro tylko są, mogą wejść w zakres wiedzy ścisłej. Zresztą, czyż obserwacye Charcota, Preyera i t. p. nie są usiłowaniem naukowego wytłomaczenia tych faktów? (*Red.*).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Petersburgu jeden z fabrykantów, dbałych o polepszenie losu robotników swoich, rozdaje im co sobota bezpłatnie bilety do łaźni parowej.

— Naczelnik miasta Petersburga wydał zakaz urzędnikom policyi zajmowania się jakiemibądź przedsiębiorstwami i czynnościami, prócz własnych biurowych.

— Prefekci departamentów południowych Francyi otrzymali od ministra spraw wewnętrznych polecenie usunięcia wszystkich merów, którzy w dniu uroczystości narodowej 14 lipca okazali się nieprzychylni rzeczypospolitej.

— Profesor prawa międzynarodowego Bluntschli, wydał w tych dniach dzieło, w którem wykłada potrzebę utworzenia związku państw europejskich, jako zarodka przyszłego państwa wszechświatowego.

— W Kijowie żydów, nie mających prawa tam zamieszkiwać, wezwano do opuszczenia miasta przez specyalne zawiadomienia osobiste.

— Pożar w Łęcznie zniszczył większą część tego miasta.

— Komisya specyalna w Petersburgu opracowała już ustawę nadzwyczajnych środków politycznych.

— Zatwierdzoną została ustawa towarzystwa przeciwdziałania pożarom w Państwie Rosyjskiem.

Zjazdy naukowe. Na wystawie lekarsko-przyrodniczej, która się odbyła w Krakowie, rozdano stosowne nagrody: dyplomy, medale srebrne, brązowe, listy pochwalne i nagrody pieniężne.

Przemysł i handel. Z polecenia ministerstwa dóbr państwa w roku 1880, p. Czerniajew zrewidował fabryki i składy machin rolniczych, istniejące w Państwie Rosyjskiem. Z ogłoszonego obecnie sprawozdania okazuje się, że fabrykacya machin rolniczych w Rosyi i Królestwie Polskiem wzrasta z każdym rokiem i rozwija się zupełnie samodzielnie.

— W Gdańsku rozpoczynają się bardzo ożywione obroty zbożowe z Polską i Rosyą w roku obecnym.

— Departament przemysłu i handlu w Petersburgu otrzymał w ostatnich czasach 42 prośby od różnych osób o udzielenie patentów na wynalazki i odkrycia.

— W Ursynowie pod Warszawą odbyła się w tych dniach próba żniwiarki p. Grubińskiego, całkiem nowej konstrukcyi.

— Warszawskie fabryki obuwia ucierpiały bardzo w skutek rozruchów na Małorusi, gdzie wielki miały odbyt.

Literatura polska. Pismo *Przyroda i przemysł* przestało wychodzić.

— Koło literackie lwowskie ogłosiło nagrodę 1000 złr. za napisanie dziełka o *Królu Janie Sobieskim*.

— P. Nussbaum oddał do druku *Historyę żydów w Warszawie*.

— *Słownika geograficznego* wyszedł zeszyt XIX-ty (Gambice—Gardziejowice).

— P. Józef Boczyński napisał świeżo broszurę p. t. *Nowa amerykańska konkurencya zbożowa i jej znaczenie dla rolników europejskich*.

— Wyszedł z druku: *Kalendarz Syrena* na rok 1881/2.

— Wyszły w Wilnie: Skórkowski: *Choroby duszy i odpowiedzialność moralna*.

Kartki satyryczno-humorystyczne.

Literatura angielska. G. H. Jennings. *Historya anegdotyczna parlamentu w Anglii*.

— Amerykański wydawca J. R. Osgood rozpoczął w New-Yorku wydawnictwo *Historyi Stanów Zjednoczonych*, w szeregu oddzielnych monografij.

— W New-Yorku ukazać się ma niebawem kolekcya życiorysów znakomitych literatów i literatek amerykańskich.

— Hart. *A syllabus of anglo-saxon literature*. Cincinati.

— Morley. *Library of english literature*, 5 vol. London.

— Browne. *Instruction in the way of life*. Londyn.

— Cutss *St. Augustine*. Londyn, 236 str.

— Pettingel. *Platonism versus christianity*. Filadelfia.

Literatura włoska. Bertini. *Storia della filosofia moderna*.

— Cantalupi. *Il suffragio universale e la filosofia sociologica*.

— Ghiringhello. *La critica scientifica e il sovrannaturale*.

— Paoli *Hume e il principio di causa*. Florencya.

Literatura rosyjska. W Petersburgu wyszedł opis procesu z powodu zamachu 1 (13) marca p. t. *Sud nad careubijcami*, obejmujący całe śledztwo sądowe, mowy prokuratora, obrońców i Żelabowa, rezolucyę sądu, wyrok i jego wykonanie.

— *Istoriczeskij Wiestnik* w zeszycie czerwcowym pomieścił dwa artykuły z dziejów polskich: *Bitwa pod Wielkimi Dębami* 31 *marca* 1831 *r.* p. M. Bogdanowicza, i *Biskup Marczewski w Łęczycy*, z wypadków 1863 r. p. M. Serno-Sołowiewicza.

— Gazeta rusińska *Diło*, wychodząca we Lwowie, otrzymała debit w Rosyi.

— Wyszło z druku sprawozdanie o działalności sądu okręgowego warszawskiego za r. 1880.

Sztuki piękne. W Stutgardzie urzędnik telegrafu wynalazł machinę do kompozycyi muzycznej, t. j. do notowania mechanicznego, jednocześnie z grą na fortepianie, utworów muzycznych granych po raz pierwszy.

Teatr. Goldmark pisze nową operę do libretta Dalma p. t. „Cudzoziemiec".

— Wystawiono, po raz pierwszy w Warszawie, w Eldorado, sztukę *Nędza warszawska*, która istotnie okazała się nędzą...

— „Royal italian opera" w londyńskiem Coventgardenie przeszła na własność towarzystwa akcyjnego z kapitałem 300,000 f. st.

Nekrologia. Emery Samuel, sławny autor angielski, zmarł w Londynie, w wieku lat 67.

— W Paryżu zmarła p. Blanc, wdowa po właścicielu *domu gry*, zostawiając majątek wynoszący *sto milionów* franków.

— Karol Bruhns, astronom i profesor uniwersytetu, ur. 20 listopada 1830 r., zmarł w Lipsku.

— 27 lipca r. b. obchodzono uroczyście rocznicę śmierci Lermontowa w Piatigorsku.

— W Londynie zmarł Neilson, dziekan trybuny dziennikarskiej w parlamencie angielskim. Był sprawozdawcą z parlamentu przez lat 50.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. a. b. w Kaliszu. Księgarnia, w której Pan pismo nasze prenumerował, winna była tę sprawę załatwić. Dodatek był wszystkim rozesłany. Postaramy się życzeniom Pana zadośćuczynić. Wyraz *opartunizm* zawiera pojęcie zasady chwilowej użyteczności, odpowiedniości, albo lepiej — stosowania się do potrzeb chwili.

Czytelni Akademickiej we Lwowie. W książkach naszych zapisane tylko *conto*, opłaty więc nie odebraliśmy.

Dr. Jóź. w Kołaczkowie. Nie brak zaufania, ale niewiadomość, czy Pan dalszego odbioru pisma sobie życzy. Wszakże należało nas tylko uwiadomić, jak to Pan obecnie uczynił. Komplet wysłany.

P. Boguckiemu w Szczawnicy. Zaginione numery wysłano.

P. K. Dul. w Rozcieszynie. Ponownie wysłano.

P. Jul. N. w Łodzi. Wysłano.

P. F. w Międzyrzecu. Wysłano ponownie. Nic się nie należy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Іюля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**